Ferdynand Kuraś

Przez ciernie żywota

Przeżycia
~~Przejścia~~ osobiste i wspomnienia

od najmłodszych lat aż po wybuch wielkiej wojny 1914 r.

Z przedmową
Stefana Żeromskiego

Wid. Drukarnia!
Rozdziałów proszę nie łączyć, lecz
każdy osobno, na nowej stronnicy drukować!

Autor

Opisy życia ludu, o ile ujawniły się w literaturze, bywają zazwyczaj dziełem osób, pochodzących z warstw, zwanych wyższemi, czy górnemi. Powodowani litością, współczuciem, podnieceni przez ideał dźwigania warstw, zwanych niższemi, - zdobycia siłą, czego na mocy dobrowolnych ustępstw osiągnąć nie można, - artyści, szukający barwy lokalnej i istoty życia, - pisarze wszelkiego typu, czerpiący tematy do swych utworów z życia masy pracującej - notują w gruncie rzeczy wspomnienia swe, albo twórczo malują na tem tle tak rozległem, wymyślając z głowy świat do ludowego podobny. Te opisy, nieraz barwne epopeje, tworzone w niby-gwarze prowincyonalnej, pisane przez ludzi dostatniej sfery, tworzone w zamożności i spokoju, rzadko kiedy odzwierciadlają żywot istotny synów i córek ziemi, nieraz zaś są śmieszną reporterką i przedrzeźnianiem. Zdarzają się i twory poczciwe, ale nieudarne i do niczego niepodobne. Język ich nie jest starą, pradawną, a przecież zmienną mową pracy, a sceny życia, gdyby nawet były podobne do istotnych, są ugrupowane w sposób obmyślony na zimno, wymędrkowany dla jakiegoś celu, tendencyjny. Nagromadza się zjawiska jaskrawe, celowo dobrane, albo wydobyte z wyobraźni, ażeby czyniły zadość społecznemu, czy literackiemu założeniu z góry. Rzadko się zdarza, - gdyż nad wyraz trudno może się zdarzyć, - ażeby ktoś z ludu przemówił, to znaczy, żeby sam lud przemówił o sobie.

Taki rzadki wyjątek, a może nawet unikat, stanowi pismo Ferdynanda Kurasia pod tytułem „Przez ciernie żywota". Mamy tutaj w formie jasnej, prostej, bez uciekania się do niby-gwary, w postaci nie obarczonej zamiarem estetyczno-twórczym podane życie samo w sobie. Czytając te stronice, ma się wrażenie, iż odsłania się ze mgły i pomroki sama

najrdrenniejsza iścizna życia ludowego, iż nakreślony został ręką niewprawną i przez to może genialną - jego symbol.

Nie podaje nam tu swego referatu, ani dzieła spostrzegacz, reporter, misyonarz do sfery dzikusów, lub poeta, szukający tutaj natchnienia, lecz zcicha mówi o sobie sam objekt, sam murzyn polski, bytujący z prawieków obok nas, dokoła oparcia naszej stopy. Gdyby czarna ospa, albo szkarlatyna jęła przemawiać o sobie i odsłaniać dzieje swego bytu, ukazywać drogi swego pochodu po niewiadomych szlakach rozwoju, doznawalibyśmy tego wrażenia, co przy czytaniu pisma Ferdynanda Kurasia. To porównanie może kogoś urazić, jako nieścisłe, a nawet przesadne. A jednak tak jest w istocie. Życie opisane tutaj tak dalece odskakuje od normalnego porządku rzeczy, od życia ludzi cywilizowanych wogóle, od wszystkiego, co jest sprawiedliwością i miłosierdziem, iż tylko do ciężkiej, ohydnej, przeklętej choroby może być przyrównane. A przecież ten pisarz życia ludu nigdzie się nie uskarża, nie pomstuje, nie wzywa na pomoc. Jego powieść jest spokojna nawet tam, gdzie maluje najstraszliwsze sceny ciemnoty, w poradni znachora-pijanicy, który ma uleczyć głuchotę, - pod cudotwórczym krzyżem obok Bychawy, gdzie nieszczęsne - nieszczęsne matki wykopywały dołki w ziemi, kładły w te dołki głowy swych chorych dzieci i przysypywały je ziemią, ażeby je z nieuleczalnych kalectw wybawić. Nigdzie on nie staje w pozycyi wyzywającej, nawet wtedy, gdy maluje dantejski obraz, gdy trzej chłopcy-niedorostki wstępują do ledwie wystygłego kotła w cukrowni, ażeby go obtłuc z osadu, z zarazy, którą wchłaniają płucami. Przedstawia nam straszliwe mieszkania robotników - (cztery rodziny w jednej izbie, uciekające przed zgnilizną i wilgocią na pewien rodzaj mieszkań nawodnych), a gdy przed tym opisem zakrywamy oczy, gdyż, zaprawdę, lisy mają stokroć mądrzej i lepiej urządzone nory, a zające zdrowsze i wygodniejsze kotliny, niż ci z pożytkiem powszechnym

pracujący ludzie, — on bawi nas anegdotycznie wspomnieniem przygody, którą mu te mieszkania troglodytów w pamięci zostawiły. Znajduje on urok w przyrodzie, widzi go, kocha i wspomina, ale nas czczemi opisami nie napawa i nie nudzi. Dostrzega urok lasu, pola, wielkiej rzeki jakgdyby chyłkiem, wśród potwornej pracy, z nieobaczka pochwycony i zapamiętany.

Przy rąbaniu pni dębowych z płacą dzienną 10 kopiejek — (o, losie straszny i przeklęty! — dziesięć kopiejek za dzień ciężkiej pracy.) — urok lasu pustego, niemego, zastygłego w śniegach widzi i odtwarza tak doskonale, iż ten urok i nam się udziela z jego łaski. Maluje przytem głód pracujących, gdy każdą grudkę i każdą krupkę kaszy gotującej się w garnku na węglach pożerali naprzód oczyma, a później zgłodniałemi usty i wnętrznościami. Maluje zaś nie dla jakowegoś celu, tylko z uśmiechem wspomnienia tamtej chwili, maluje dla samego malarstwa, z potrzeby wewnętrznej, jako prawy i dostojny odtwórca wszystkiego, co na to zasługuje.

Nie wymawia ani jednem słowem wielkiemu panu, odzianemu w ślizny strój do łowów, gdy go ów pan z lasu przepędzał, skoro z bratem niedorosłym suche patyczki na ogień zbierali. Nie dobywa słów przeraźliwych, gdy biedny ojciec tłukł głową o ścianę, patrząc na syna, zmarłego z czarnej ospy i gdy tego syna całował w usta. Nie podnosi głosu nigdy. Raz jedyny, gdy go poraził cios najokrutniejszy — utrata słuchu — wskutek nieszczęśliwej przygody uderzenia wrótnią w głowę, rozwiązuje się jego język dla pożegnania się ze światem szmerów, szelestu drzew, głosów przyrody i śpiewu ptaków. Wtedy dostrzegamy, jak głębokim jest poetą. Nie mogę powstrzymać się, ażeby tego pożegnania tutaj nie przytoczyć, jest to bowiem wysokiej piękności hymn o rozkoszy słuchu i jedyne pewnie w literaturze świata pożegnanie się z dźwiękiem.

„Żegnaj, świergocie przywiązanych do strzechy

wioskowej wróblich gromadek i ty, lotnych jaskółek szczebiocie u poddasza.

Żegnaj, cudowny hymnie szarego skowronka, zawieszonego w wiosenny poranki nad budzącą się z letargu zimowego ziemią.

Żegnajcie, rzewne słowików trele, zamieniające w przybytek aniołów ciszę wonnych wieczorów wiosennych.

Żegnajcie, wy polnych świerszczów ćwierkania wśród tchnących aromatem pól w jasne letnie dzionki i ty, czarowna żabich chórów kapelo, w przednocki majowe.

Żegnajcie, szmery wód i poszumy pól.

Żegnajcie, kochane dźwięki serdecznych słów matki, ojca i braci.

Wdzięczna melodyo pastuszej ligawki, srebrysty dźwięku dzwonka, krówek poryki, koników rżenie, żegnajcie, żegnajcie..."

Najpiękniejsze jednak w tem dziełku są opisy podróży proletaryackich, odbywanych najętym wozem, po bocznych polskich drogach do celów nijakich, do nadziei znalezienia miejsca pobytu, punktu oparcia, zaczepienia się o jakąś pracę, dosięgnięcia kąta mieszkalnego. Autor nasz z tych to podróży podaje tysiące szczegółów, które wtedy ujrzał i nazawsze zapamiętał. A czyni to w sposób tak prosty i, że tak powiem, dobry, iż sami stajemy się nanowo zaciekawionemi dziećmi, które tą oto wynajętą furmanką w „świat szeroki" jadą. Kędyś przyjmują nas w gościnę, serdecznie zapraszają na nocleg tacy sami, jak my, biedacy i pracownicy, nocleg pospólny w zadymionej i dusznej izbie. Ale widzimy dokoło siebie twarze poczciwe, poorane, spalone na skwarze i posieczone od ulew i chłodów, podeptane przez troskę wieczystą.

Obcujemy z dawno zgasłymi ludźmi, którzy na widok dzieci otwierają ramiona, zdejmują z twarzy troskę i bojaźń o jutrzejsze jadło i wystawiają ubogi poczęstunek. Prości polscy ludzie fornale,

zarobnicy, drwale, drobni kramarze, rzemieślnicy i robotnicy ukazują nam się z tych kartek w ich prawdzie i istocie. Przemawiają oto do nas dawne, dziwne religijne obyczaje, które czas idący wytracił, przeproszenia w imieniu zmarłego nędzarza przez mówcę pogrzebowego – ziemi czarnej za to, iże ją deptał, wody zimnej za to, iże ją pił…

Pijemy czarną i zimną poezyę polskiego ludu.

Cała ta epopeja małorolnego nędzarza, pełna ludzi tak plastycznie i wiernie przedstawionych, iż znamy ich odtąd i jesteśmy ich przyjaciółmi, choć tak bezmiernie są ubodzy i dalecy, – pisana jest ścisłym, przeczystym, naturalnym językiem. Ani jednej zadry, ani jednego fałszu, ani jednej blagi, lub przesady!

Książka w początkowej swojej większości, – do chwili kiedy jej autor zostaje uznanym poetą ludowym, doznającym zasłużonych odznaczeń, – jest arcydziełem literackiem, czemś nowem, nieznanem, odkrywczem. Druga część końcowa, jest już tylko osobistą historyą, pamiętnikiem przejść, przygód, zmian pozycyi socyalnej, wizyt, wyjazdów i wycieczek i właściwie nie ma już związku z częścią pierwszą. Przygody, odmalowane w części pierwszej, czyta się jednym tchem, choć to jest pospolity sumaryusz wędrówek za chlebem, zarobkiem i legowiskiem pewnej proletaryackiej rodziny. Jest to odsłonięty rąbek groźnego obrazu, bolesnej krainy ubogich, na którym każdy ruch stopy ich na cierń natrafia i krew na śladach swoich pozostawia.

Warto przeczytać tę książkę. Warto dać ją do czytania, – zamiast bzdurstw i bajd – dzieciom szczęśliwym tej ziemi, które nie wiedzą, nie słyszały, nie przypuszczają i nie widziały w najsmutniejszym śnie, jak tuż obok nich cierpią straszliwie rodzeni ich bracia i rodzone siostry.

Stefan Żeromski.

Errata

tomu pierwszego „Przez ciernie żywota".

Str. 9 w wierszu 14 od góry po słowie niesrczęsne – dodać niesrczęsne.
„ 34 „ 9 „ „ zamiast skrzypek powinno być Skrzypek
„ 36 „ 13 „ dołu „ wisłą „ „ Wisłą
„ 43 po wierszu 8 od góry opuszczono: Chłopak wytrzeszcza oczy i miłczy. – „Na jaką to nutę?"

„ 59 w wierszu 8 od dołu zamiast chrapowość powinno być chropawość
„ 60 „ 13 „ góry „ stanowiszo „ „ stanowisko
„ 62 „ 1 i 2 „ „ ostatnie „ „ ostatniej
„ 65 „ 1 i 2 „ „ wyrostków „ „ wypustków
„ 66 „ 1 „ „ wtak „ „ w tak
„ 71 „ 15 „ „ zostaliśmy „ „ zastaliśmy
„ 71 „ 8 od dołu po słowie spięta dodać zgrzebna
„ 72 „ 13 „ „ zamiast dlatego; powinno być dlatego
„ 73 „ 3 od góry „ grubiemi „ „ grubemi
„ 74 „ 13 „ „ „ podobnym „ „ podobny
„ 83 „ 8 „ „ „ odryskuje „ „ odryskają

„ 94 w wierszu 11 od góry po słowie z poświęceniem opuszczono: i majster był ze mnie zadowolony

„ 101 wiersz 1 od dołu zamiast wszawskie powinno być wrzawskie
„ 103 „ 11 „ „ „ jednem „ „ jednym
„ 104 „ 4 „ góry „ przechodzeń „ „ przechodzień
„ 105 „ 9 „ dołu „ pracę „ „ płacę
„ 106 „ 5 „ „ „ skore „ „ skoro
„ 113 „ 13 „ „ „ zodziców „ „ rodzić
„ 118 „ 1 „ góry „ Rychta „ „ Rychla
„ 123 „ 4-3 „ dołu „ raczem „ „ zaczem
„ 124 „ 3 „ góry „ się, „ „ się
„ 135 „ 7 „ dołu „ przeczytam „ „ przytaczam
„ „ „ 3 „ „ „ pożęzyngm „ „ pożytecznym
„ 145 „ 4 „ „ „ potoku „ „ potoków
„ 146 „ 3 „ „ „ prowadził „ „ oprowadził
„ 152 „ 15 „ góry „ Będzieć „ „ Będziecie
„ „ „ 6 „ dołu „ Fransiszka „ „ Franciszka

15/8/55

„Przez ciernie żywota" t. II.

W rękopisie należy przed oddaniem do druku poczynić następujące poprawki:

Rozdział IX.

W opowiadaniu historji o krzyżach mylnie wpisano imię Anastazji Krawczukowej; należy sprostować na Katarzyna Krawczukowa.

Rozdział X.

W ustępie zaczynającym się od słów: „Skoro z powodu choroby Zosi" etc zamiast „blisko 40 mórgów"
powinno być: trzydziestu morgów

Rozdział XI.

W ustępie zaczynającym się od słów: „Śp. Stanisław Szczepanowski" etc skreślić słowa: „jest kilka cukrowni (przed wojną coś 7), to na całą ogromną Galicję jest ich tylko dwie", a napisać:
są dwie cukrownie, to na całą ogromną Galicję jest ich również dwie

Zbiorek wierszy. Tytuł „Przebrzmiałe strofy" zmienić na: Przebrzmiałe pieśni

W utworze pt. Swojakom w cyklu Strofy lirnika w wierszu 10 od góry słowo „walczyć" zmienić na Działać.

Od Autora.

Serdeczny przyjaciel mój, ~~P.~~ Jan Słomka młodszy, który starał się wprowadzić mnie na udeptane ścieżki literackiej pracy chłopskiej, słuchając moich dorywczych opowiadań o tem, co w życiu przechodziłem, jął mnie namawiać do spisania tych przejść.

Ociągałem się długo. Bo i na cóż to wszystko? Wszak życie moje ze swemi przejściami i wypadkami to kropla z tego morza martyrologji ludu polskiego. Są to zdarzenia tak codzienne i tak pospolite, że ~~u nikogo~~ zdawało mi się, iż chyba szerszego zainteresowania nie wzbudzą.

Ale skoro namowy przyjaciela mego przybrały z czasem charakter nalegania, uległem w końcu i na krótko przed wybuchem wielkiej wojny zabrałem się do pisania, podzielając słuszne zresztą zapatrywanie jego, że praca niniejsza przydać się kiedyś może zawodowym biografom, niejednego zaś z hojniej przez naturę uposażonych współbraci pobudzi do spisania bardziej interesujących przejść, a to jużby coś znaczyło.

W dziełku niniejszem opisałem jedynie osobiste przejścia, spostrzeżenia i wrażenia. Daleko mojej książeczce do tych ślicznych „Pamiętników włościanina" sędziwego wójta Jana Słomki, traktujących wszechstronnie wszystkie przejawy wsi naszej; daleko jej również do tych barw i potoczystości języka, jakiemi odznacza się pióro szanownego senatora Jakóba Bojki. Wszystko w niej szare, tak, jak życie jej autora.

Wychodząc z założenia, że niedomówienia, domyślniki, fałszywy wstyd przed tem, czego wstydzić się nie należy, nie oddałyby wiernie obrazu, pisałem bez osłonek. Zresztą nie posiadając wyrobionej techniki pisarskiej, nie umiem drastyczniejszych szczegółów parawanem literackiego stylu osłaniać.

Jeżeli więc wyjaskrawieniem faktów, komuś z bliskich sercu memu sprawiłem przykrość, serdecznie go na tem miejscu przepraszam.

~~Część druga~~ Ciąg dalszy niniejszej pracy ukaże się, jak Bóg da, w swoim czasie.

F. K.

I.

Rys genealogiczny. – Charakterystyka ówczesnych ludzi. – „Sejek" i sobótki. – Wójt Walenty Madej:

~~Rys genealogiczny.~~

Urodziłem się w roku 1871, jako trzecie z rzędu dziecko a drugi syn ubogich zarobników. Z rodzeństwa mego trzech braci i dwie siostry zmarły w ~~zaraniu życia~~ dzieciństwie, najstarszy zaś brat Jan rozstał się z światem w 21 roku życia. Pozostało nas jeszcze trzech braci, między którymi ja jestem najstarszym.

Cały majątek mych rodziców wynosił zaledwie jedną czwartą część morgi, poza tem nic więcej. Byli bezdomni. Ojciec posiadał niepoślednie wykształcenie i spory zasób wiedzy, mógł zatem przy silnej woli pozyskać jakie takie stanowisko i stworzyć rodzinie byt znośny. Niestety, ojca trapiła do końca jego życia ciężka choroba, objawiająca się perjodycznie nieprzepartym pociągiem do napojów wyskokowych. Stąd to tak życie ojca jak matki i dzieci było jednem pasmem udręczeń, o których jednak dla łatwo zrozumiałych powodów wspominać tu nie będę. Wystarczy powiedzieć, że w domu panowała wielka bieda, a łaskawy czytelnik mnie zrozumie.

Ojciec przechodził rozmaite koleje, różnych imał się zawodów i zajęć, na żadnem z nich jednak (co w podobnych wypadkach jest rzeczą naturalną) długo ostać się nie mógł.

Matka posiadała wyszkolenia tylko o tyle, że ~~może~~ mogła się z książki pomodlić. ~~Jest~~ Była niepiśmienną. Życie ~~matki~~ jej ~~to jeden ciąg nieprzerwany~~ było jednym ciągiem ciężkiej pracy fizycznej, której wydajność w trudnych życia terminach wystarczała ledwie na uchronienie dzieci od śmierci głodowej.

~~Aby~~ Chcąc dać jakie takie pojęcie niedostatku w domu rodziców panującego, ~~cofnąć się muszę do mego pachołęcego wieku~~ przytoczę choćby jeden przykład. Kiedy liczyłem 4 do 5 lat życia, w pewien jesienny wieczór, przytulony do matki, trzymającej na łonie młodszego brata Franciszka, siedziałem przy kominku, na którym płonęły smolne szczapy.

Kominek taki, zwany „świecznikiem", posiadała wówczas każda na wsi chata, a zastępował on lampę. Na kominku owym przystawiła matka do ognia garnek, w którym gotować się miały na wieczerzę ziemniaki. Byliśmy bardzo głodni, to też wzrok miałem wlepiony w ów garnek, niecierpliwie oczekując, rychłoli matusia tę tyle pożądaną wieczerzę na misce poda. Niestety, godziny upływały, a ziemniaki jeszcze się nie gotowały, aż nareszcie znużeni i wyczerpani posnęliśmy na kolanach matki. Wtedy matka cichutko a ostrożnie przeniosła nas śpiących na łóżko i otuliwszy, ogień na kominku zgasiła. W garnku owym prócz wody nie było nic, brakło bowiem w domu nawet ~~nietylko~~ ziemniaka, ~~ale i jakiegokolwiek ziarnka~~, uciekła się przeto matka do podstępu, byle dzieciom płaczu oszczędzić. ~~I tak dni lat następnych dzieciństwa mego mniej więcej podobne były do siebie.~~

W ostateczności tylko udawała się matka do rodziców swych, albo też rodziców ojca, od których otrzymywała jaką taką parodniową zapomogę w żywności. ~~Że skoro już wspomniałem o dziadkach, należy się i im na tem miejscu poświęcić bodaj krótkie wspomnienie.~~

Dziadkowie moi – tak ojca jakoteż matki rodzice – byli to ludzie prawi, pobożni, trzeźwi, cieszący się ogólnym szacunkiem. Rodzice ojca, Łukasz i Agnieszka z Ziołów, mieszkali w Wielowsi na tak zwanej Kępie, małym przysiółku, ~~odległym od wsi, w stronie Sandomierza~~, okolonym zaroślami, szuwarem, wodami, szczątkami starego łożyska Wisły, i posiadali tam coś 6 morgów, w połowie żyznej pszenicznej ziemi, w połowie zaś wody i łąki. Dochowali się trzech synów, z których najstarszym był Jan, ojciec mój, średni Walenty, dotychczas na ojcowiźnie osiadły i najmłodszy Franciszek, który zostawszy ogrodnikiem, powędrował w kraj i stale zdala od stron rodzinnych przebywa.

Matki zaś mojej rodzice, Mateusz i Helena z Chajów Motykowie, mieszkali w Sobowie, gdzie posiadali trzy morgi gruntu i plac z zabudowaniami w środku wsi. Mieli cztery córki, mianowicie najstarszą Marję – matkę moją, Gertrudę, Agnieszkę i Annę. Gertruda wyszła za Józefa Ordyka w Dzikowie, Agnieszka za Szczepana Szczytyńskiego w Miechocinie, naj-

młodsza zaś Anna wydała się za Karola Łapałę z Sokolnik i pozostała na ojcowiźnie w Łobowie.
~~Rodzice matki mojej byli analfabetami~~.
Dziadek Łukasz chłopem był piśmiennym, babka Agnieszka umiała czytać, obcą jej jednak była sztuka pisania. Rodzice matki byli analfabetami.

Na wyróżnienie zasługuje szczególnie babka Agnieszka. Była to niewiasta o wzniosłych zaletach ~~serca~~ duszy, czynna i miłosierna, jedna z tych, o których Duch św. w Księdze przypowieści mówi: „Niewiastę mężną któż znajdzie? Daleko i od ostatecznych granic cena jej. Omylna wdzięczność i marna jest piękność; niewiasta bojąca się Boga, ta będzie chwalona". Nikt nigdy nie usłyszał z ust jej przykrego słowa; nikt nigdy nie dostrzegł najlżejszego przebłysku gniewu na jej obliczu. Zawsze i dla każdego miała dobre słowo i słodycz twarzy. Nikt z ubogich nie wyszedł z domu jej z próżnemi rękami. Zbierając się do kościoła zaopatrywała się (zazwyczaj pokryjomu przed dziadkiem) w kromki chleba, jabłka i gruszki, wszelki krup, jagieł, ziarna i t.p. rzeczy. Chleb i owoce rozdawała po drodze biednym dzieciom, które zawsze na jej spotkanie gromadnie na drogę wybiegały; przestąpiwszy zaś progi kościoła, szła prosto między ubogie, którym zbóż wszelki w ręce wtykała.

~~Nadmienić wypada, że~~ W owych czasach najemnicy otrzymywali za swą pracę u gospodarzy w czas przednówkowy wynagrodzenie przeważnie w naturze, które wynosiło za dniówkę 1 litr pszenicy czy innego ziarna - bez wiktu; w czasie zaś żniw płacono 25 „krajcarów". Ten sposób wynagradzania najemników przyjęty był także u dziadka. Babka jednak wynagradzanie takie uważała za niewystarczające, ~~ponieważ jak już nadmieniono sposób ten wszędzie był przyjęty~~ to też pokryjomu przed dziadkiem donosiła najemnikom żywność w pole lub wprost do domów.

Gdy niemoc powaliła ją na łoże cierpienia, sprowadził dziadek do chorej miejscowe siostry Dominikanki, któremi ludność całej parafji we wszelkich chorobach zazwyczaj się posługiwała. Pomoc tychże sióstr polegała na postawieniu chorej

baniek i podaniu do zażycia pewnych leków, z ziół polnych przyrządzonych. Pamiętam doskonale, jak siostry, ostatnim razem wychodząc od babki, tak do niej się odezwały: „Nie smućcie się Kumoško, jeszcze będziecie hulać". Niestety, chora ~~miała~~ czuła się coraz gorzej; cierpienia swoje znosiła jednak w milczeniu z zupełnem poddaniem się woli Bożej. Przed samem skonaniem zwróciła się do służącej ze słowami: „Jagna, podlej kwiatki" – i w chwilę potem, w dniu 16 czerwca 1877 r. po pięćdziesięciu czterech latach
zbożnego życia odeszła w krainę wiecznej szczęśliwości po zasłużoną nagrodę z rąk Stwórcy, a śmierci jej towarzyszył żal ogólny.

Dobrocią i uczynnością odznaczał się także dziadek Mateusz, ojciec matki. Szczególnie wnuków swych, między którymi ja pierwsze w jego względach miałem miejsce, wprost bezprzykładnie miłował. To też gdy ~~przed samem skonaniem~~ w dniu śmierci matka moja zadała mu pytanie: „Tatusiu, żal wam mnie?" odpowiedział: ~~[illegible]~~ „Ej, ciebie mi nie żal, tylko dzieci (wnuków) mi żal". Zmarł 22 kwietnia 1877 w 66tym roku życia.

#

Aż do śmierci babki ~~dziewiątki~~ przebywałem w porze letniej najchętniej na Kępie w domu dziadków, gdzie też przebywał stale brat Jan, którego tam zajęciem było pasanie krów na pobliskiem pastwisku. Czas mi upływał ~~jak sny złote pochodzenia~~ na uganianiu pośród pól i łąk, na swawoleniu z rówieśnikami wśród wysokich zarośli w wyschniętem miejscami ~~od gorąca letniego słońca~~ dawnem łożysku Wisły i na płoszeniu błotnego ptactwa, którego tam wówczas znajdowały się niezliczone ilości.

Lubiłem bardzo te pola na Kępie, którym z pobliskiego wzgórza ~~nad~~ za Wisłą króluje starożytny Sandomierz ~~z którego wież kościelnych każdorazowe bicie dzwonów~~ ~~dźwięcznem~~ ~~odbiciem po tej stronie rozbrzmiewało~~ z sześcioma kościołami. Z wież tych kościołów każdorazowe bicie dzwonów 6 ~~miłem po tej stronie rozbrzmiewało~~ dźwięcznem na drugą stronę Wisły przynosiło ~~[illegible]~~ echem.

~~[illegible]~~ Był wówczas, powsi na wieży katedry umieszczony, ~~także~~ wielki zegar, odznaczający się donośnem a miłem dla ucha wydzwanianiem godzin, które na Kępie doskonale słyszeć się dało. W te dźwięki dzwonów ~~świątyń~~ sandomierskich a szczególnie zegara, ~~tak~~ wsłuchiwałem się ~~chętnie~~ najchętniej. Już wówczas ~~chłopięcą duszą~~ mimowiednie odczuwałem, że w dźwiękach tych przemawia do nas daleka, jakaś niepojęta, wielka, nimbem świętości otoczona Przeszłość. Nawet obecnie, jeśli kiedy ~~stanę~~ na tych polach i wzrok skieruję na sandomierskie, w blaskach słońca kąpiące się mury, a myśl cofnę w minione ~~chłopięce~~ lata, zdaje mi się, że słyszę na jawie uroczyste głosy dzwonów i poważne bicie zegara... Błogie chwile dzieciństwa mego skończyły się wraz ze śmiercią babki Agnieszki. A choć na Kępie został mi jeszcze dziadek, mało już kiedy tam zaglądałem. Brakło serca i ciepła.

Odtąd chowałem się w domu przy rodzicach w Sobowie, gdzie ojciec z małemi od czasu do czasu przerwami spełniał ~~funkcje~~ czynności pisarza gminnego i równocześnie nauczyciela w miejscowej szkółce ludowej. Za spełnianie tych obowiązków pobierał ~~ojciec~~ tytułem wynagrodzenia: za nauczanie 40 reńskich i 10 korcy ziarna, za pisarkę zaś 70 reńskich rocznie. O ile ojciec był przy zdrowiu, wszystko szło jakoś; ~~w anormalnym~~ natomiast ~~stanie~~ z chwilą powrotu jego choroby, w domu naszym rozpanoszała się nędza.

Przy normalnym ~~się~~ stanie zdrowia ojca było w naszym domu nieraz nawet wesoło. Bo, że to ojciec odznaczał się otwartą naturą i ciętym dowcipem i umiał opowiadać różne historje, schodzili się radzi do naszego mieszkania – składającego się z jednej tylko izby mieszkalnej, ~~która służyła zarazem za kancelarję i szkołę~~ liczni sąsiedzi, już to aby coś usłyszeć, już też na pogadanki sąsiedzkie. Każdy gość był u nas mile witany. Dla odwiedzających nas sąsiadów ojciec nakazywał nam, dzieciom, najwyższy szacunek.

Skoro więc ktoś próg naszego mieszkania przestąpił, zawsze musieliśmy iść ku niemu i, choćby to był naj~~biedniejszy~~ chudobniejszy chłopina, rękę jego ucałować. To też mieszkanie nasze przepełnione było sąsiadami, nieraz niby w kościele. ~~A kto z was, mój czytelniku, na tyle ciekawy, że chciałby wiedzieć, co ojciec sąsiadom opowiadał, niech zajrzy do zeszytów~~ Na tych schadzkach sąsiedzkich ojciec najczęściej opowiadał coś z „Pereł humoru polskiego", których sporo ~~ojciec~~ na pamięć umiał. Opowiadał też ~~ojciec~~ najciekawsze wypadki swego życia, szczególnie z roku 1863 i przejścia w kaźni na zamku krakowskim, dokąd za udział w ruchawce w tymże roku na dziesięciomiesięczne więzienie wyroki austrjackich sądów wojennych go wtrąciły. Poza tem odczytywał ojciec sąsiadom ówczesne bardzo popularne gazetki ludowe: „Dzwonek", „Chatę" i „Nowiny".

Pogadanki z sąsiadami przeciągały się u nas nieraz do późnej nocy przy słabem świetle zwykłej naftowej lampy ~~bez knota~~, która i tak była w owym czasie na wsi rzadkością, czego dowodem następujący wypadek: Gdy pewnego wieczora poczęła lampa kopcić, ojciec, chcąc oczyścić zwęglony knot, usiłował gołą dłonią zdjąć szkiełko, które jednak ~~ponieważ~~ ciasno osadzone, ~~było~~ zdjąć się nie dało. Co więc ojciec ujmie palcami za baniastą spód szkiełka, zaraz rękę odejmuje i dmucha w palce. Przypatrywał się tej manipulacji jeden z najbliżej stołu siedzących sąsiadów; chcąc tedy ojca wyręczyć, a przytem snać ufając większej na gorąco wytrzymałości twardej swej dłoni, całą dłonią ujął za cienką w górze szyję szkiełka — i naraz z żałosnym sykiem raptownie dłoń cofnął, ~~krzycząc~~ mówiąc: „O... ja myślołem, że w górze to nie tak parzy"...

Do częstych naszych gości należał Michał Bożek, który każdego lata przebywał na flisie jako retman. Był to chłop wesoły, filut co się zowie, a jak płatał figle, przytoczę jeden z wielu.

Wśród żydów w miasteczku Tarnobrzegu wybuchły epidemiczne choroby, zabierając liczne ofiary.

Żydzi, jak zwykle tłum przesądny, zamiast stosować środki zapobiegawcze, usunąć niechlujstwo, przeprowadzić dezinfekcję mieszkań i ulic i przestrzegać czystości, – namówili Bożka, by za pewnem ~~[illegible]~~ wynagrodzeniem udał się na kirkut i tam z ukrycia skoro usłyszy zapytanie: „Nie ma tu miejsca?" odpowiadał, że nie ma. Wybrał się tedy Bożek i czekał. A kiedy wkrótce przybyli tam Żydzi i z namaszczeniem zapytali: „Nie ma tu miejsca?" posłyszeli taką dobitną odpowiedź: „Jest! jest dość miejsca! dawać ich tu jak najwięcej!" – „Gewałt! rozbójnik!" wrzasnął tłum ~~pobożnych~~ chasydów, rzuciwszy się z wyciągniętemi rękami i usiłując ująć Bożka, ale ~~nasz Michał~~ ten wyskoczył jak z procy z ukrycia, powalał na ziemię tych, którzy drogę mu zagradzali, dopadł ogrodzenia kirkuta, przesadził je z kocią zwinnością, a znalazłszy się w przyzwoitej odległości, gdzie kamienie rozpaczonych znawców talmudu dosięgnąć go już nie zdołały, jeszcze na dobitkę fujarkę na nosie im pokazywał.

Sprytem i zmysłem spostrzegawczym odznaczał się także częsty nasz gość, Mikołaj Czogowicz, będący wówczas polowym gminnym. Pewnego zimowego ranka w środę, w którym to dniu odbywał się tygodniowy targ w Tarnobrzegu, do naszego mieszkania wpadła jedna z gospodyń z lamentem, że sąsiad jej, rudy Mordka, stado jej gęsi wpędziwszy na swe podwórze, wykradł jej najpiękniejszego gąsiora. Poszkodowaną odesłał ojciec do wójta, którym był Walenty Madej, rodem z Wielowsi, krewny ojca ~~postać wzorowa, do którego przyjść ni jeden pośród~~.

Wójt wysłuchawszy relacji rozkazał dwom polowym przeprowadzić u Mordki rewizję. Najpierw stajnię, potem komorę przeszukano, a gdy tu nic nie znaleziono, udano się do izby, lecz i w izbie ~~w której~~ mimo ~~że po~~ przeszukania wszystkich kątów śladu kradzieży nie odkryto. ~~Wtem Mikołaj nie stracił~~ jednak wtedy Czogowicz ~~pewności siebie, bo~~ odezwał się do towarzysza: „Michale, odsuńmy jeszcze ~~tę oto~~ szafę". – „Poco szafę,

na co szafę" – protestował zaperzony żyd, usiłując stawić ~~silny~~ opór, jednak daremnie, bo polowi usunęli szafę – pod którą również nic nie znaleźli. Ale Mikołaj nie stracił rezonu, ~~polecając obecnej przy rewizji warcie, by mu przyniosła rydel, co gdy ta spełniła~~, i zabrał się ~~Mikołaj~~ do kopania dołu w miejscu odsuniętej szafy... – „Aj waj! czyście wy Mikołaju oszaleli?" odezwie się żyd, przybladłszy nieco – „nu, róbcie co chcecie, nic nie zdybiecie... ja nie ukradł, jak Boga ko..." Tu ~~mu~~ urwał, bo Mikołaj wykopawszy już spory dołek i zapuściwszy weń rękę, aż do ramienia, zawołał triumfująco: „O! ja tu coś namacał" i, ~~prostując~~ ~~podnosząc~~ dźwigając się, ~~powoli~~, wyciąga i w górę podnosi ~~jednego, wiesz~~ gąsiora! Wszelkie perswazje żyda, że nie wie nic, jakim „cudem" gąsior aż tutaj wlazł, nic nie pomogły. Gąsiora zawieszono mu na plecach i tak udekorowanego żyda popędzono do kozy w Tarnobrzegu. ~~na widok publiczny do powiatowego miasta, gdzie przez parę dni w kozie rozmyślał~~ ~~zawodził treny Jeremiasza na niesprawiedliwość i złość antysemitników~~ ~~o marnościach tego świata~~.

Starsza generacja owych czasów składała się prawie z analfabetów, mimo to nie brakło wśród tych niepiśmiennych ludzi prawdziwych talentów, i gdyby w miejsce karczem stały szkoły, ~~bodaj ele mentarne~~, nie potrzebowalibyśmy użalać się dzisiaj na niedolę wsi naszej. O jednym takim analfabecie z Wielowsi, ~~którego nazwisko wyszło mi z pamięci~~, odznaczającym się wybitnemi zdolnościami łatwego ~~rymowania~~ wysławiania się mową wiązaną, opowiadał mi ojciec. ~~Był to chłop wesołego usposobienia, poeta swego rodzaju.~~ Wszystkie niemal pieśni kościelne, jakie ~~umiał~~ znał, na pamięć, na poczekaniu i bez zająknienia przerabiał na swój sposób, stosownie do okoliczności. Spotkał n.p. zwalonego z nóg do błota pijanego chłopa, wtedy nad nim zaintonował:

„W błocie leży,
Któż przybieży
Pijanego ratować?
Karczmareczki przybywajcie,
Pijanego wyciągajcie,
Nie może se rady dać".

Żadne wesela, chrzciny, zabawy nie obeszły się bez niego, wszędzie mile był widziany. Wydawała raz jedna z gospodyń córkę za pewnego podstarzałego kawalera, ~~kto~~ z połyskującą już dobrze na czubie łysiną, a za którego, mówiąc nawiasem, iść dziewczyna nie chciała, musiała jednak ulec stanowczej woli matki, której imponował majątek pana młodego. W trakcie zabawy weselnej chciała matka przywołać zięcia po imieniu, lecz w sam raz zapomniała, jakie ~~ma~~ imię. Zauważył to nasz poeta i wlot ~~wygłosił taką improwizację~~ zaśpiewał:

„Zapomniała matka, jak na zięcia wołać:
„Pódź-ze łysy byku, pojedziewa orać"...

Wśród weselników nastąpił wybuch szalonego śmiechu. Tylko pani młoda rozpłakała się, a ukrywszy się w kącie, narzekała na matkę i męża ~~i niefortunnego oratora~~.

Fizjognomja wsi ~~za moich chłopięcych lat~~ w owych czasach, tak pod względem zewnętrznym jak i duchowym inny miała wygląd. Ludność była uczciwa, pracowita, pobożna. O każdej porze roku budziła się ze snu bardzo wcześnie – zazwyczaj z pierwszem pianiem koguta, a każdy dzień ~~za~~ rozpoczynała śpiewaniem Godzinek. Tak samo mając udać się na spoczynek, nabożną pieśnią dzień kończyła. – Umarł ktoś we wsi, miano zwyczaj zapraszać do domu żałoby któregoś odznaczającego się większą swadą oratorską sąsiada, który imieniem zmarłego w stosownej przemowie przepraszał ziemię, po której ~~chodził~~ deptał; wodę, którą pił; słoneczko, co mu świeciło; przyjaciół, krewnych, rodziców i t.d. Przed każdą zaś spowiedzią wielkanocną chłopaki, sposobiąc się do niej, chodzili po domach i przepraszali mieszkańców za wyrządzoną im szkodę, o sprawcy której poszkodowany najczęściej właśnie dopiero teraz się dowiadywał.

I nie mogę powiedzieć, żeby w czasach owych smutno na wsi było. Prawda, że pod względem oświaty i pojmowania spraw ogólnych ludność ówczesna stała bardzo nisko, jak niemniej pod względem

i dopiero z takiego wzniesienia ujmowałem żarnów=
kę, o ile drobną garścią objąć ją mogłem, i wspólnie
z matką mełłem, dopóki ostatnie ziarnko z wyżłobie=
nia, znajdującego się na jednym końcu żaren, a
zwanego „ducą", nie znikło między wirującym ka=
mieniem. Matka bowiem, przywykła do ustawicznej
pracy, pragnęła także i mnie zawczasu do niej włożyć.
W porze zaś wiosennej i letniej pasałem ~~gęsi~~ gęsi na poło=
żonem opodal wsi pastwisku.

Każdej niedzieli letnią porą zjeżdżały do Sobowa
do któregoś posiadającego obszerniejszą izbę gospoda=
rza, dwie siostry Dominikanki z Wielowsi. Tam scho=
dziła się dziatwa, ~~obojej płci, ze wsi~~ wiejska, której siostry
udzielały nauki katechizmowej oraz wykładały
małą historję biblijną. Na takie niedzielne
nauki i ja również chodziłem, a wróciwszy do
domu, wszystko co tam słyszałem, ojcu musiałem
opowiedzieć.

W szkółce sobowskiej rozpoczynał się nowy rok
szkolny, a nauczycielem ustanowiony był mój
ojciec. Do szkoły tej zostałem i ja zapisany.
Ojcowie czy opiekunowie niechętnie dzieci do
szkoły oddawali, nie chcąc pozbywać się wyręcze=
nia w domu, a głównie przy pasaniu bydła, ale że
z wójtem Madejem żartów w takiej sprawie nie było,
zatem chcąc czy nie chcąc posyłać musieli. Rozpoczą=
łem więc naukę od a, b, c na elementarzu, którą
w domu ~~w~~ wolnych godzinach uzupełniałem.

Budynek szkolny, stojący mniej więcej w środku
wsi na obszernym piaszczystym placu w pobliżu
kuźni gminnej, składał się z głównej dość prze=
stronnej lecz niskiej sali, ~~na~~ której w środku stał
słup podtrzymujący pułap; dalej była sień i szczupły
alkierz, w którym przechowywano księgi i akta gminne.
W sali przy ścianie naprzeciw drzwi wchodowych stał
na stopniach stół dla nauczyciela, wzdłuż
ścian bocznych rzędy ławek, nieco ~~ku~~ z tyłu na
sztalugach ~~wielka~~ duża czarna tablica, przy słupie
zaś, na którym przybita była biała kartka z nary=
sowanym przez ojca osłem, tak zwana „ośla ławka",
wreszcie na pierwszej ścianie obok drzwi wisiał
spory krzyż z figurą Zbawiciela, którego stopy każde
z wchodzących na salę dzieci szkolnych musiało ca=

materjalnym dużo odczuwała braków; odznaczała się przecież mimo to szczerą wesołością, choć zmuszona była pracować bez porównania więcej i w cięższych niż dziś warunkach. I nie pomylę się, gdy powiem, że do wyjaśnienia szczerej tej pogody życia naszego ówczesnego ludu przyczyniały się niepomiernie chwalebne obyczaje, pobożność i różne tradycyjne zabawy i obchody, z których wiele zanikło dziś zupełnie, czego szczerze wypada żałować.

Szczególnie oryginalną była ongiś na wsi zabawa, a właściwie pustota, w poniedziałek wielkanocny, tak zwany „lejek” albo „święty lejek”, polegająca na wzajemnem oblewaniu się wodą między parobczakami a dziewuchami. Po powrocie z kościoła dnia tego zbierali się parobczaki przed domem, gdzie znajdywała się jedna lub więcej dziewuch. Do izby zawsze kiedy udało się im pierwszym dostać, bowiem dziewuchy na czas przed nimi się zabezpieczały, przymykając drzwi chałupy drewnianą zasuwą, co jednakże nie uchroniło ich od natrętów, którzy zawsze znaleźli jakiś fortel na wywabienie ich z ukrycia. Skoro więc dziewucha wychyliła się poza drzwi, wyskakiwał [jeden z] ~~parobczak~~[ów] z zasadzki i [przytrzymywał ją.] ~~usiłował ją przytrzymać; ta zaś widząc, że do izby cofnąć się już nie może, a nie chcąc dobrowolnie wpaść w ręce zbytnika, pędem zmykała do domu najbliższego sąsiada, gdzie jednak zaczajeni już parobczaki przytrzymywali ją, a ująwszy w dwóch pod ramiona, wlekli przemocą ku studni, dokąd przypadł i ów, co dziewuchę z domu wywołał, i ze~~ [Inni przychodzili mu zaraz z pomocą, ujmowali dziewuchę pod ramiona i wlekli przemocą ku studni, gdzie jeden z nich] zepuściwszy żóraw do studni, wyciągał konew i metodą księdza Kneippa lał z góry na głowę trzymanej, daremnie szamocącej się dziewki strumienie zimnej jak lód wody. Co gdy zobaczyły inne dziewczęta, pospieszały w sukurs rówieśniczce, w skopce i garnki z wodą uzbrojone, pragnąc się za koleżankę odwzajemnić, – atoli gdy się już zbytnio zbliżyły, puszczali chłopaki do ostatniej nitki przemoczoną dziewkę, a przybyłe chwytali – i oblewali co wlazło. Ma się rozumieć, że tak spłukane dziewczęta, nie mając nic do stracenia, teraz przechodziły do roli zaczepnej – i rozpoczynała się ogólna gonitwa i wzajemne chlustanie.

~~Inni przychodzili mu zaraz z pomocą, ujmowali dziewuchę pod ramiona i wlekli przemocą ku studni, gdzie jeden z nich~~

Starsi zaś nietylko że pustoty tej nie ganili, mówiąc: „niech się tam dzieci rozerwią", ale sami wychodzili na ulicę gwoli przypatrzenia się igrarce młodzieży. Niejeden z ojców patrząc na te swawole odezwał się do matki: „Kaśka, a może byśwa se tak spomnieli młode lata - co?" i przy tych słowach chlust w kobietę trzymaną dyskretnie za plecyma kwartą wody! - „A ty zbereźniku!"...- krzyknęła zaczepiona pochylając się i potrząsając głową, z której obficie ściekały krople wody - „a ty ~~stary~~ stary zbereźniku, dam ja ci!" Ale gospodarz nie czekając, aż mu się żona ~~odw~~ „odwzajemni", czemprędzej dawał drapaka z placu. Kobieta zaś nie mogąc mężowi się ~~odwzajemnić~~ zrewanżować, oblewała pierwszego przechodzącego mimo sąsiada.

Oj, byłoż to, było, napatrzeć się czemu a uśmiać się, a duszę rozweselić! A choć po takiej swawoli rzadko kto z biorących w niej udział suchą nitkę miał na sobie, szkody przecież żadnej nikt nie poniósł, ubierano się bowiem wówczas nie w lichą obcą tandetę, jak to niestety dzisiaj się dzieje, lecz w prosty z domowego płótna strój, który wystarczyło powiesić i wysuszyć, by ślad przemoczenia zniknął.

Niejeden z dzisiejszych wysubtelnionych elegantów opisaną wyżej pustotę gotów nazwać średniowiecznem zacofaniem, a nawet barbarzyństwem. Co do mnie, to wolałbym, by dawne owo oblewanie wróciło, a niechby natomiast przepadło to nieszczęsne, w powszechnej dziś modzie będące „oblewanie" w szynkowniach.

Z dawnych zwyczajów dochowało się jeszcre wówczas ~~do~~ ~~owych lat poprzedzających~~ obchodzenie „sobótek", ale już zanikające. Obchodzenie sobótek polegało na paleniu ogni w noc św. Jana, gdzie zgromadzeni parobcy z dziewuchami tańcząc dokoła ognia, śpiewali stosowne pieśni, jak n.p.

„Grzmią wozy, grzmią na Bukowinie,
Nasieję ja tatarczki na tej nowinie,
O biały Janie, a któż tam będzie przebywał?
Nadobny Jasieńko konie pętywał,
O biały Janie" i t.p.

Z pięknego tego starodawnego zwyczaju dziś w stronach tych nie pozostało ani śladu, pomimo, że nawet

księża (w szczególności Ks. Julian Leszczyński, długoletni i zasłużony proboszcz wielowiejski, wybitny konserwatysta) zabiegali za utrzymaniem go, - i dzisiejsza ludność niema pojęcia, jak to się odbywało. - Utrzymały się za to przesądy, wiara w gusła, czary, uroki i t.d. I najsmutniejszą chyba stroną wsi owych czasów było zaufanie ludności do owczarzów - znachorów i znachorek, do których we wszelkich przypadłościach i chorobach po radę i pomoc się udawano.

Wójtem w Sobowie był wówczas - jak już wspomniałem - Walenty Madej, u którego przez jakiś czas komornem mieszkaliśmy, wspólnie z gospodarzami w jednej izbie. Chłop to był światły, piśmienny, co w owych czasach na wsi między starszymi ludźmi należało do wyjątków. Nie znosił on w swej gminie plotkarstwa, obmów, kłótni, pijatyki i bijatyki; doglądał nawet, by w każdym domu panował wzorowy porządek i czystość, a zauważone w którejś chacie niechlujstwo, wytykał śmiało gospodyni, ochędożne zaś i zapobiegliwe niewiasty za wzór innym stawiał. To też bywało, że skoro która gospodyni zauważyła zbliżającego się do jej domostwa Madeja, wydawała zazwyczaj okrzyk: „O loboga! Madej, Madej idą!... a zamieciże wikta nieździano izbę, a wyniesiże wojtek koryto, a duchem... o Matko Boska!..." i biegając od kąta do kąta, porządki na gwałt w izbie robiła. ~~w izbie~~

Był Madej postrachem lampartów wszelkiego rodzaju, to też ci nie lubili go, a już pijacy wprost drżeli przed nim. Bo też dla tych ostatnich był ~~Madej~~ bezwzględnym i każdego napotkanego na wsi nieprzyzwoicie się zachowującego gorzałczanego zwolennika rozkazywał polowym gminnym chwytać i bez ceremonji do gminnego aresztu pakować na suchy chleb i wodę; kto zaś usiłował wyrwać się lub chciał bić polowych, temu zakładał na ręce kajdanki. - Tę samą karę stosował także i do nieletnich przestępców w gminie czy to za kradzież, czy też za robienie szkód w cudzych ogrodach i polach. Długość czasu odsiadywanej kary wynosiła zazwyczaj od 6 do 24 godzin a czasem i trzy dni, zależnie od ciężkości popełnionego przestępstwa.

Bywało, że jakiś wyrostek dostał się pod klucz, o czem gdy tegoż ojciec lub opiekun się dowiedział, szedł prosto do wójta i nuże prosić, by polecił uwolnić urwisa.

którego w gospodarstwie niezbędnie potrzebował. ~~Nan~~ Madej wszakże nie był tak łatwo ustępliwy i odpowiadał krótko: „Niech odpokutuje, na co zasłużył". Gdy atoli interesowany prośby ponawiał: „wypuście go, wójcie, już ja mu dam „pucówkę", a będę odtąd pilnował, by ~~więcej~~ podobnego gałgaństwa więcej nie zrobił" — dał się wójt w końcu nakłonić, polecając polowemu uwolnić z kozy wyrostka. Szedł tedy interesowany w towarzystwie polowego ku aresztowi, i kiedy polowy odmykał drzwi karni, gospodarz ~~stał~~ naprzeciw wyjścia stał z przygotowanym powrozem, którym wychodzącemu z aresztu urwisowi moralność na plecach wykładał.

Pamiętam, gdy pewnego razu do naszego mieszkania, jako kancelarji, gdzie oprócz licznych sąsiadów był także obecny wójt Madej z kilkoma członkami zwierzchności gminnej, dwaj polowi przyprowadzili jednego z miejscowych gospodarzy, bezpośredniego sąsiada Madeja, Michała S., który lubił zbyt często się upijać, a kiedy ~~[illegible]~~ upomnienia wójta i zwykłe kary nie odniosły skutku, a nawet S. począł maltretować żonę, rozkazał Madej skuć mu kajdankami ręce i przetrzymać dni parę w areszcie, aż żona zasądzonego poczęła w końcu prosić za mężem, — i oto właśnie prosto z aresztu tutaj go przyprowadzono. Przestąpiwszy próg pochwalił S. przykładnie Pana Boga, wysłuchał w pokorze karceń i upomnień, w których Madej przedstawiał winowajcy zgubne skutki pijaństwa, przyrzekł poprawę, a płacząc jak dziecko, padł na kolana, skute łańcuszkami ręce wzniósł ku wiszącym na ścianach obrazom świętych, i tak się czołgał na klęczkach, a poprawę w dalszym ciągu przyrzekał, aż Madej zdjął mu z rąk łańcuszki. Wtedy S. ujął go za nogi i ucałował mu rękę, a następnie wszystkim zgromadzonym, mimo wahań z ich strony, to samo uczynił.

~~[Biorąc z powyższego miarę zdawałby się mogło, iż Madej był człowiekiem despotycznym. Przeciwnie]~~ Madej odznaczał się przytem ~~[illegible]~~ wielką prawością charakteru i zacności serca, czego przykładem następujące zdarzenie. W sam dzień Nowego 1875 czy 1876 roku spowodowany ważnym interesem udał się Madej do Tarnobrzega, zaopatrzywszy się poprzednio na drogę w placek, który w torbie skórzanej umieścił. Przypadek zrządził, że ktoś mu ten placek z torby wyciągnął. Wróciwszy późnym wieczorem do domu żalił się, że głodny, gdyż od rana nic w ustach nie miał. Ktoś z domowników zwrócił mu uwagę,

że przecież placek na drogę z sobą wziął. Madej rzekł na to: „Prawda, lecz jakiś dobry człowiek wyjął mi go z torby; zresztą jestem już w domu to się posilę, a on może nic więcej prócz tego placka nie miał do jedzenia". Słysząc to ojciec mój, wtrącił: „A bodaj się nim udławił". Lecz Madej skarcił ojca, mówiąc: „Dobrze zrobił, że wziął, bo musiał być głodny - niech mu wyjdzie na zdrowie".

I mimo tylu wybitnych zalet, nie był Madej wolnym od przesądów i wierzył znachorom, czego dowodem następujący mały obrazek: Służył u Madeja dorosły już parobczak, imieniem Adam. Otóż od pewnego czasu cierpiał on bóle w nodze, co czyniło go niezdolnym do pracy. Chcąc parobka wyleczyć posłał Madej po znachorkę, w miejscowej wsi zamieszkałą. Znachorka, baba nie stara i dobrze wyglądająca, rozkazała Adamowi położyć się na wznak na środku izby z rozkrzyżowanemi rękami. I kiedy ten zastosował się do jej żądań, ~~wtedy~~ baba rozpoczęła dokoła chorego wędrówkę, nadeptując mu za każdem okrążeniem bolącą nogę. Chory wrzeszczał rozdzierającym głosem: „O loboga!.. Swocyku, ratujcie mnie!" Błagał, zwracając wykrzywioną bólem twarz ku memu ojcu - ale nadaremnie; nikogo nie wzruszył, na twarzach przypatrujących się tej dziwnej operacji domowników osiadła zimna, flegmatyczna obojętność, jakgdyby się działa rzecz najzwyklejsza w świecie. Musiał więc biedak wytrzymać, dopóki mu baba parokrotnie nogi nie przydeptała. Rzecz prosta, że taki sposób „leczenia" zdrowia choremu nie wrócił, ale zrobił go kaleką na całe życie.

Podobnego rodzaju praktyki uprawiane były we wsi na wielką skalę, i nic dziwnego, skoro ani taki Madej, ani nawet ojciec mój ~~od znacho~~ stronić od znachorów nie umieli.

II

Szkółka w Sobowie. - Ostatni lirnicy. - Utrata słuchu. -

W życiu mego ojca zdarzało się - o czem już na początku wspomniałem - że od czasu do czasu, na krócej czy dłużej znalazł się bez zajęcia. Wtedy najmował się sąsiadom do młócki czy innej roboty w polu, za zwykłem dziennem wynagrodzeniem. W porze zaś zimowej, gdy o jakąkolwiek robotę poza domem było trudno, siedząc w domu dłubał, oprawiając

ludziom święte obrazki w tekturę za szkło, której to sztukę przyswoił sobie w dawniejszych latach. Była to dłubanina żmudna, dużo cierpliwości wymagająca, ale rzecz sama wykonana bardzo ładnie. Sąsiedzi lubili taką oprawę obrazków, to też i roboty ojcu w tym przypadku nie brakowało. Zarobek jednak w ten sposób uzyskany, był nikomo mały, gdyż za cały tydzień skrzętnej dłubaniny zdołał ojciec zarobić zaledwie 40 – 80 centów. Pozatem znał ojciec także sztukę introligatorstwa, dającą cokolwiek większy zarobek, zawsze jednak marny, to też wynagrodzenie w pieniądzach za takie roboty rzadko kiedy ~~ojciec~~ brał, zadowalając się zapłatą w naturze.

Matka także najmowała się ludziom do żniw, kopania ziemniaków i tem podobnych robót w polu, na zimę zaś przyjmowała od sąsiadów kądziel, którą całymi dniami i większą częścią nocy przy migotliwem światełku ogarka przędła na wrzecionie, otrzymując za to wynagrodzenie również w naturze. ~~Trzeba bowiem wiedzieć~~, że Ze owych czasów każdy posiadacz choćby małego skrawka gruntu, uprawiał len czy konopie i nie było poprostu w Sobowie domu, w którymby się na tkactwie nie znano. To też porą zimową podręczne warsztaty tkackie we wsi trajkotały całemi dniami. Dodam, że matka moja na sztuce tkactwa domowego znała się doskonale – i ktoby dziś płótno jej wyrobu zobaczył, niedałby pewnie wiary, że to zwykły domowy, kobiecy wyrób.

Ojciec, siedząc w domu przy dłubaniu, urozmaicał sobie czas śpiewaniem różnych świeckich pieśni, jak: „Nie tak ~~in~~ to illo tempore bywało", „Za Niemen het precz" itp.; tę drugą śpiewał najczęściej. Z nabożnych zaś pieśni śpiewał ~~ojciec~~ wspólnie z matką każdego wieczora oprócz pieśni „Dobranoc Głowo Święta" także pieśń do Anioła Stróża, której pierwsza zwrotka brzmi:

„Aniele, coś mi dany
Gdym ten powitał świat,
Tyś wierny, mój kochany
Przewodnik, piastun, brat" –

a której słuchać bardzo lubiłem.

W tym czasie mogłem już w domu na coś się przydać. Ile razy matka chciała zemleć jakąś miarkę ziarna, przywoływała mnie do żaren, do których przystawiwszy stołek, stawiała mię na nim –

Łować po poprzedniem pochwaleniu Pana Boga, czego ojciec bardzo przestrzegał. Nauka rozpoczynała się zawsze stosowną pieśnią czy modlitwą, do której za przykładem nauczyciela wszystkie dzieci klękały, poczem po skatalogowaniu ~~obecny~~ uczniów i uczenic odbywała się nauka.

Żydowskie dzieci do szkoły tej przystępu nie miały.

Między uczniami było wielu niesfornych ~~[illegible]~~ niepokorów ~~urwisów~~, by ich utrzymać w przyzwoitem zachowaniu, wyznaczał ojciec zwykle jednego ze starszych, wzorowo sprawujących się uczniów, który, wziąwszy do ręki długi łozowy pręt, chodząc po sali szkolnej, każdego schwyconego na „psikusach" zbytnika kijem tym namacalnie sięgał i do porządku przywracał. I dziwić się tej metodzie nie trzeba, niesforność bowiem niektórych chłopaków przechodziła wprost miarę ~~[illegible]~~; oto np. jeden z nich, syn miejscowego kowala, idąc do szkoły zabierał z sobą szydło, którem siedzących najbliżej siebie współuczniów „macał" po łydkach... Do takich niepoprawnych szkolarzy stosowano chłostę. ~~o której sposobie wykonania będzie niżej.~~

Oprócz czytania, pisania, rachunków i rysunków uczyły się dzieci także śpiewu, ku czemu sprowadził ojciec parę śpiewników z nutami. Żadna z tych pieśni nie zachowała się w całości w mej pamięci, niektórą wszakże zwrotkę pamiętam jeszcze. Dzieci śpiewając naprzykład:

„Nauczyciel dobrze prawi,
Że w pracy nagroda,
Niech go Pan Bóg błogosławi,
Żegnać nam go szkoda,
Dana, dana, dana! Żegnać nam go szkoda!"

ostatni wiersz zwrotki odśpiewywały z mocą i ochotą, właściwą swemu wiekowi. „Dana, dana, dana!" brzmiało donośnie w takt dźwięku młotów w pobliskiej kuźni, wywołując ~~tem~~ uśmiech radosnego zadowolenia na każdej twarzy. Przesadnego wykrzykiwania tego „dana, dana, dana!" ojciec bynajmniej nie ganił, wychodząc z założenia, że ochota taka ożywia młodociane umysły i do tem większej pilności w nauce pobudza.

Te to śpiewniki z nutami miały w naszej szkółce

dwojakie przeznaczenie. Który z chłopaków za wiele i niepoprawnie broił, wyprowadzano go z ławki na środek szkoły i zmuszano kłaść się na oślej ławce. I kiedy w nogach leżącego stanął jeden z tęższych chłopaków z łozą w ręku, brał ojciec śpiewnik, a rozkładając go i podsuwając kartki przed oczy leżącego, pytał: „Na jaką to nutę?" Chłopak patrzy na posunięte mu kartki śpiewnika i milczy. „Na jaką to nutę?" powtórzył nauczyciel — i w tejże chwili na delikatną część ciała leżącego spadły razy. „O! loboga... loboga!" — wrzeszczał chłostany, wierzgając nogami. + „zzz... ~~o loboga! loboga!~~"
— „To dla ciebie, nie la Boga" — mawiał ~~stary~~ ojciec, i po wymierzeniu ~~sześcioma~~ oznaczonej ilości kijów upominał ~~go~~ zwykle krótko: „Teraz spodziewam się, synku, że na przyszłość nie będziesz mnie zmuszał do udzielania ci takiej lekcji!" + Poczem chłopak przepraszał nauczyciela i wracał do ławki.
← Siedzenie ~~w~~ na „oślej ławce" przeznaczone było dla leniuchów. ⊕

Oprócz opisanych kar stosował jeszcze ojciec do upartych, i niepoprawnych leniwych uczniów oryginalny rodzaj kary, tzw. „ośle uszy". Z brzozowej kory wycinano szeroki około 6 cm. odpowiedniej długości pas, którego końce z sobą łączono i tak powstawała opaska do wkładania na głowę. Osobno wycinano z tego samego materjału dwa wysokie uszy na podobieństwo oślich, które znów do przygotowanej poprzednio opaski przyszywano — i tak powstały owe „ośle uszy", które zasługującemu na nie, na głowę wkładano. Ten rodzaj kary należał do najcięższych. Bywało, że ukarany w ten sposób chłopak, nietylko że tak „odznaczony" przesiedział na oślej ławce, ale nawet w razie cięższych przewinień szedł wciąż do domu, przez współuczniów odprowadzany, narażając się przez całą drogę na rozmaite, ~~niedbał~~ niepochlebne uwagi ze strony przypatrujących się tej maskaradzie starszych i dzieci a za przybyciem do domu brał cięgi. Zdarzało się, że przyszedłszy do domu, zrywał sobie z głowy tę dekorację i targał ją na strzępki; trafiało się to jednak dość rzadko, gdyż za przybyciem do szkoły za postępek

także, podlegał wznowująca „nutom".
Poratem ojciec jako nauczyciel dbał o rozwój fizyczny dzieci, urządzając im od czasu do czasu tak zimą jak latem w dni pogodne tzw. „spacery". Szliśmy więc zimą gromadnie na ślizgawkę, latem zaś na piaski za wsią. Na spacerach takich oddawaliśmy się ćwiczeniom fizycznym, a raczej ~~pustotom~~ swawolom. Na piaskach wetknąwszy odpowiedniej długości kij i zawiesiwszy na nim czapkę, każdy z nas jeden po drugim popisywał się zręcznością: rozpędziwszy się w biegu przeskakał w śmiałym skoku czapkę na kiju zawieszoną. To znów próbowaliśmy swych sił, we dwóch ujawszy się za bary; który przeciwnika na ziemię położył, ten zbierał pochwały. - Dziewczęta bawiły się osobno.
Do naszej szkółki zaglądał często wójt Madej, zadając dzieciom pytania i zachęcając je do pilności oraz nakazując posłuszeństwo względem nauczyciela.
Z krótkich tych chwil szkolnych pamiętam jeszcze ukazujących się od czasu do czasu na wsi wędrownych lirników, o których w szkole śpiewaliśmy ze śpiewnika:

„Bywało, mówią, czasy dawnemi
Żyli lirnicy na naszej ziemi
I chodząc z pieśnią z proga do proga,
Głosili chwałę kraju i Boga".

Dla tych to lirników ojciec mój żywił prawdziwą sympatję, i skoro kiedy wędrującego wsią lirnika zauważył, wychodził z izby szkolnej, przywoływał go do szkoły i prosił o zagranie. Grał więc lirnik na lirze i śpiewał - najczęściej okolicznościową pieśń nabożną, - a my słuchaliśmy; albo też dzieci śpiewały pieśń o ostatnich lirnikach, której pierwszą zwrotkę powyż przytoczyłem, a lirnik im przygrywał. Po opuszczeniu szkolnej ławy, już więcej lirników w stronach tutejszych nie widziałem.

„Nie wiem przyczyny, jak się to stało,
Ale lirników wciąż ubywało
I coraz smutniej pieśń liry brzmiała
I coraz ciszej - wreszcie skonała".

W takich warunkach ukończyłem siódmy rok życia.

Jakkolwiek pierwsza młodość moja szczęśliwą nie była, to dalsze lata życia o wiele smutniej mi płynęły. Aż dotąd byłem zdrów, odczuwałem życie w całej naturze, co pozwalało mi łatwiej znosić niedostatki. Podobało się przecież Panu Bogu odjąć mi słuch. Dotychczasowy więc świat głosów, którym tak krótko

ciesyłem się, zaniemiał dla mnie zupełnie.

Żegnajcie mi zatem wszelkie głosy natury, któreście duszy mej przez krótkość pacholęctwa mego pokrzepieniem były.

Żegnaj świergocie przywiązanych do strzechy wioskowej wróblich gromadek i ty lotnych jaskółek szczebiocie u poddasza.

Żegnaj cudowny hymnie szarego skowronka zawieszonego w wiosenne poranki nad budzącą się z letargu zimowego ziemią. ~~szarego skowronka.~~

Żegnajcie rzewne słowików trele, zamieniające w przybytek aniołów ciszę wonnych wieczorów wiosennych.

Żegnajcie wy polnych świerszczów ćwierkania wśród tchnących aromatem pól w jasne letnie dzionki, i ty, czarowna żabich chórów kapelo, w przednocki majowe.

Żegnajcie szmery wód i poszumy pól „wyzłacanych pszenicą, posrebrzanych żytem".

Żegnajcie kochane dźwięki serdecznych słów matki, ojca i braci.

Wdzięczna melodjo pasturzej ligawki, srebrzysty głosie ~~dźwięku~~ dzwonka, krówek poryki, koników rżenia — żegnajcie, żegnajcie!

Nieubłagana ręka Przeznaczenia odbiera mi was i zamyka w wyciosaną z głazów martwoty trumnę. I spuszcza tę trumnę w niezgłębiony jak wszechświat grób.

A na grobie tym zatyka aż po gwiazdy wysoki, a spadów łuku sklepienia niebieskiego ramionami swymi sięgający krzyż.

I daje mi w zamian na nieodłączną towarzyszkę życia ~~towarzyszkę~~ uroczystą ~~niezgłębioną~~, pełną niemego ~~uroczystego~~ majestatu Ciszę, umarłych kochankę.

Żegnajcie, żegnajcie!

. . . .

Powodem utraty słuchu była ciężka, kilka tygodni trwająca choroba, której przyczyny trudno ustalić. Pewnego wiosennego, wietrznego dnia rodzice moi wybierając się do miasta polecili mi, bym podczas ich nieobecności dowiódł krowie w południe paszy. Od ranka tegoż dnia czułem się jakoś niezdrów, co wszakże nie przeszkadzało mi krzątać

się koło domu. W południe, wykonując polecenie rodziców, poszedłem ~~po wiązkę siana~~ do stodoły. Drzwi do niej, wrótnię zostawiłem otwartą. W chwili, gdy z sianem wychodziłem, gwałtowny wicher uderzył we wrótnię z taką siłą, że, zatrzaskując się, zaporą uderzyła mię w skroń tak mocno, że zapora się oderwała i wraz ze mną na ziemię upadła. Pomimo tak gwałtownego uderzenia, podniosłem się z ziemi, z łatwością a co dziwniejsze, ani bólu ani też ogłuszenia prawie nie odczułem. Od tego ~~jednak~~ atoli dnia szybko począłem na zdrowiu upadać, wreszcie rozchorowałem się tak ciężko, że w moje wyzdrowienie wszyscy zwątpili. Młoda natura przecież przemogła i powoli wracałem do sił.

Choroba nie odrazu pozbawiła mię słuchu, lecz zanikał on stopniowo, i ~~jestem~~ przekonany jestem, że gdyby rodzice moi więcej mieli świadomości i na czas pomocy lekarskiej wezwali — byłbym zupełną władzę słuchu zachował. Dopiero w parę miesięcy po ogłuchnięciu matka udała się ze mną raz, drugi ~~drugi~~ i trzeci do lekarza w Tarnobrzegu. Potem zaś stosowano mi środki podług wskazówek rozmaitych miejscowych i zamiejscowych znachorek i „doktorek", a gdy i to nie pomogło, chodziłem z matką do ówczesnego dziedzica w Zarzekowicach, śp. Wojnarowskiego*) — lecz było to już zachód spóźniony. W ostatku ojciec na podstawie wyczytanego w gazecie ogłoszenia sprowadził maleńką flaszeczkę tzw. „olejku słuchu" dra Schippka z Wiednia za cenę coś 6 reńskich — i także napróżno.

Utratę słuchu odczułem w początku może nie tak boleśnie, niżby się zdawało, albowiem ojciec opisując mi rozmaite, nawiasem mówiąc zmyślone przykłady, jakoby ten a ten po tylu a tylu latach całkowitej głuchoty odzyskał wreszcie słuch, pocieszał mię nadzieją, że i ja także wkrótce przesłyszę. No i żyłem tą nadzieją, zwodniczą co prawda, lecz zawsze z wiarą w lepsze jutro.

*) Edmund Wojnarowski, właściciel małego dworku w Zarzekowicach nad Wisłą, tuż u stóp Sandomierza, był bardzo uczynny dla okolicznej ludności i miłosierny. Jako znający się na praktyce lekarskiej udzielał on bezpłatnie porady chorym i lekarstw z własnej domowej apteczki. Stąd to przez okoliczną ubogą ludność zawsze był oblegany. Umarł samotny, tak, jak żył, nie pomnę jednak którego roku. Ale wdzięczna o nim pamięć w okolicy żyje po dziś dzień. Z dworku jego w Zarzekowicach dziś już śladu nie ma.

Odtąd rozpocząłem smutny okres życia. Mimo upośledzenia fizycznego, czasu nigdy nie marnowałem, gdyż w domu naszym próżnowania nie znano. Pomagałem więc matce w robieniu porządków w domu, mleć w żarnach, robić w polu, to znów podczas ogólnego we wsi ruchu warsztatów tkackich, nawijałem przędzę na cewki; przy ojcu wprawiałem się w oprawianiu obrazków, a w wolnych od pracy chwilach brałem książkę, tabliczkę z rysikiem albo ołówek i ćwiartkę papieru i oddawałem się nauce.

Pracy ~~więc~~ miałem jak na swój wiek dużo i to ciężkiej pracy. To też prawdziwą dla mnie wówczas rozkoszą było wymknąć się w upatrzonej chwili z domu i pohasać z rówieśnikami na pobliskiem błoniu lub w polach, co znów rodzicom się nie podobało, i ~~to~~ nieraz z tego powodu karcili mnie, a do nauki popędzali. Myślę, że taką przesadną troskliwość o naukę dziecka stosują z reguły niejedni ojcowie, co jest wprost błędem. Osłabia to bowiem energję dziecka, upośledza nietylko fizycznie ale i umysłowo, doprowadza wreszcie do stanu apatji. Ale dla mnie, jako zmuszonego żyć w grobowej samotności był ten przymus męką, tem więcej, że pracy się nie leniłem, a do nauki wielkie zamiłowanie miałem. ~~Dalej~~ Szkodliwym dalej wynikiem tego przymusu było i to, że nie mając możności częstszego przebywania w gronie rówieśników i poswawolenia czy pobawienia się z nimi, żyłem w milczeniu, co znów pociągało za sobą stopniowo zanik mowy.

Niechże więc rodzice, których dzieci obdarzył Bóg ~~szlachetnymi porywami~~ zdolnościami umysłu i wpoalił w nich żądzę zdobycia nauki i wiedzy, nie zmuszają tych dzieci do bezustannego ślęczenia nad książką i to wtedy, gdy dziecko czując się przemęczonem pragnie wytchnienia. Niech im nie bronią swobodnego pohasania i poswawolenia w polu, uważając jedynie, by pustota taka nie przekraczała miary. Wszak ta ziemia, ta przyroda, jasnem słonecznem oblana światłem, to dłonią Stwórcy pisana wszechmądrości księga, z której każdy człowiek, i wszelkie stworzenie czytać śnadnie potrafi. Mamy tego najlepszy dowód w naturze. Ptak, żyjący na swobodzie, przeczuje zmianę pogody, przeczuje zimę i bez przewodnika trafi do cieplejszych stron na drugą półkulę, gdy natomiast ptak urodzony i wychowany w klatce, wypuszczony w końcu na wolność

zbłądzi i zmarnieje. I tak jest w całym świecie wszechstworzeń. Człowiek, wychowany w wielkiem mieście i wykształcony, jak to się mówi „wszechstronnie", jednak w młodości nie obcujący nigdy albo bardzo mało z przyrodą, wszystko będzie wiedział, lecz będzie to mądrość sztucznie nabyta – i niechno taki znajdzie się w opuszczeniu, bez potrzebnych środków do życia i wygód, – wtenczas cała jego zdobyta wiedza nie na wiele się mu przyda i zmarnieć musi. Mamy tego nieustające dowody w zboczeniach i samobójstwach.

Proszę tylko nie zrozumieć mię źle! Do książek, do nauki, wogóle do pracy nad swem umysłowem wykształceniem dążyć trzeba wszelkiemi siłami, lecz jednocześnie nie zaniedbywać poznania także ~~tej~~ księgi wszechmądrości Bożej – ziemi, przyrody. Gdyż nic tak, jak częste obcowanie z przyrodą, nie ułatwia nam ~~przy~~ zdobycia wiedzy i zapewnienia sobie tak fizycznego jak i duchowego zdrowia, bez którego człowiek choćby był jak Krezus bogatym, a jak Salomon mądrym, nigdy nie będzie w swem życiu prawdziwie szczęśliwy.

III.

Przeprowadzka za Kordon. – W Świerczynie. – W cukrowni. – Szkoła w popielnikach. – Przeprowadzka do Kamieńcy. – Uproszczona metoda nauki. – Praca w polu. – ~~Kręgowa~~. – „Gadaj przepowiadaj". – Krzyżyki na Kurhanach. –

W rok może po opisanym wyżej wypadku, który mię o kalectwo przyprawił, ojciec wybrał się w podróż do Królestwa Polskiego celem wyszukania sobie odpowiedniego zajęcia, gdzie bawił przez czas coś całego roku, nadsyłając stamtąd od czasu do czasu matce trochę zarobionego grosza, co wszakże na wyżywienie nas wszystkich, w domu pozostałych, nie wystarczało i przez cały ten czas nieobecności ojca, musiałem zarabiać, oprawiając ludziom obrazki, a któremu to zajęciu oddawałem się dzień po dniu, nie mając nawet czasu książki wziąć do ręki.

Ojciec tymczasem otrzymał w Królestwie posadę gajowego, a przyjechawszy po roku do domu, zabrał nas wszystkich za Kordon na nową siedzibę. Tu już życie stało się znośniejszem, pracy jednak i na tem miejscu nigdy mi nie brakło, a lubo cięższa była niż dotąd, to ~~pracy~~ w każdym razie dużo znośniejsza z tego względu, że tu więcej pod otwartem ~~gołem~~ niebem – w lesie pracowałem.

Wraz z mieszkaniem, dla gajowego przeznaczonem, objęliśmy w użytkowanie prócz kawałka łąki trzy morgi pola ornego, które z karczunku powstało. Pniaków ~~więc~~ z wyciętych drzew było na tem polu dość; po zbiorze z pola plonów pomagałem ojcu pniaki te wykopywać. W stosownej porze ~~pracowa-łem w polu~~, ~~to~~ zbierałem wraz z braćmi w lesie poziomki, których było wbród, zanosząc je następnie wraz z starszym bratem do niezbyt odległej osady fabrycznej i tam spieniężając. W zimie, wziąwszy siekierę i piłę, z ojcem i matką szedłem do lasu ścinać pojedyncze uschłe drzewa, które się piłowało, rąbało i w sągi układało, za co od zarządu lasu osobne wynagrodzenie ojciec pobierał. Tylko podczas zamieci i silniejszych mrozów siedziałem ~~przesiadywałem~~ w domu, lecz i tu nie próżnowałem, oprawiając obrazki. W wyjątkowych wolnych chwilach strugałem kozikiem i robiłem klatki dla szpaków i kosów, za którymi w porze wylęgu rad na drzewa się wspinałem, a oswojone ~~obłaskawione~~ szalenie lubiłem.

Tam to wyciągałem z komórki stare drukowane kartki gazet, czy też książki, jakie przy przeprowadzce z Małopolski tu się dostały, i odczytywałem. Poza czytaniem odczuwałem potrzebę także pisania; wykradałem więc ojcu świstki białego papieru i wypisywałem na nich to, co w książce lub starej gazecie przeczytałem, a co mi się najwięcej spodobało. Prócz wczytanych ~~wyczytanych~~ zapisywałem i to, co jeszcze z Małopolski pamiętałem. Były więc w moim kajecie takie pieśni, jak: „Polak nie sługa", „Boże Ojcze" itp. Ale kajet ten wpadł przypadkowo w ręce ojca, który nakazał go ~~kajet ten~~ spalić, starszemu zaś bratu polecił, ~~by mi~~ wytłómaczyć mi, iż rzeczy podobnej treści ani pisać ani też wymawiać głośno tutaj nie można, gdyż to grozi nam wszystkim ciężkiemi karami. Skutek jednak był ten, że odtąd tem ciekawiej za temi zakazanemi kartkami myszkowałem i je czytałem. Nareszcie ojciec, snać nie chcąc mnie pozbawiać przyjemności czytania, przywiózł raz z Kraśnika dwie nowe książki. Treść tych książek była całkiem inna od tego wszystkiego, co dotąd mogło wpaść w moje ręce. Były to mianowicie naukowe dziełka Kazimierza Promyka. Jedna z nich nosiła tytuł „Ciekawe zjawiska w świecie"; tytuł drugiej książki wypadł mi

już z pamięci. Później przyniósł ojciec wypożyczoną gdzieś książkę z życiorysami starożytnych mędrców greckich; książka wcale ładna, lecz dla mnie wówczas mało zrozumiała, niewiele zatem z niej skorzystałem.

W miejscowości tej było nam wcale znośnie. Szczególnie las ze swą zielenią i balsamiczną wonią drzew oraz różnorodnem ptastwem posiadał dla mnie niewypowiedziany urok. Z jakąż rozkoszą zapuszczałem się w tę gęstwę drzew, między któremi przeważał smukły świerk, od czego właśnie las ten nosił nazwę Świerczyna. Tu oddychałem pełną piersią, tu odczuwałem w całej pełni siłę życia. Niestety, ojciec na tem miejscu nie utrzymał się dłużej jak dwa lata. Musieliśmy się zatem z tego miłego ~~dla mnie~~ zakątka przeprowadzić do sąsiedniej osady, Żakrówka, gdzie była fabryka cukru.

~~Zanim przystąpię do opisu, jak na nowem miejscu życie mi płynęło, chciałbym przedstawić pokrótce wygląd i rozkład mieszkań, dla ludności robotniczej przeznaczonych.~~

Mieszkania, ~~te, mające~~ przeznaczone tam dla ludności robotniczej, miały wygląd zwykłych szop, pobudowane były długim ~~szeregiem~~ rzędem, a odległość między poszczególnemi mieszkaniami ~~jaka je od siebie oddzielała~~, wynosiła mniej więcej 10 – 12 metrów bieżących. Sposób, w jaki baraki te pobudowano, był całkiem prymitywny. Do wkopanych w ziemię słupów poprzybijano poziomo szczelnie do siebie przylegające deski zewnątrz i wewnątrz tak, że każda ściana na podobieństwo wąskiej, długiej a wysokiej paki była wewnątrz próżna. Próżnię tę dla zabezpieczenia mieszkań przed zimnem zapełniono ziemią. Na pokrycie dachu składała się tarcica i papa. Barak taki miał szerokości mniej więcej 8 m, długości 16 m. W samym środku barak był przepierzony tarcicą, przez co powstawały dwie równe ubikacje. Każda ubikacja miała po jednych drzwiach w ścianie poprzecznej i po cztery okna, w samym zaś środku stał jeden większy piec kuchenny. Jedna ubikacja przeznaczona była dla czterech rodzin, czyli że jeden barak zamieszkiwało osiem rodzin, każda w osobnym kącie. Mieszkania takie odznaczały się zazwyczaj chłodem, wilgocią i zaduchem, to też zapobiegliwsi mieszkańcy radzili sobie w ten sposób, że w kącie swym stawiali z desek dwie ścianki o kącie prostym,

urządzali drzwi, kładli podłogi i w ten sposób oddzielali się od reszty współmieszkańców osobnym pokoikiem, kuchnię jedynie mając wspólną. Inni zaś budowali w swych kątach olbrzymie prycze na wysokość 1 metra, na których umieszczali łóżka, stół, stołki i tym sposobem zabezpieczali się od przykrego chłodu i nieporządków. W jednym z takich baraków wyznaczono nam mieszkanie.

Pierwszą czynnością moją, jaką w fabryce mi wyznaczono, było wybieranie korzonków i resztek buraków ze śmieci, za dziennem wynagrodzeniem 20 groszy. Po dwu tygodniach umieszczono mię już przy elewatorze, donoszącym buraki na górę do t. zw. płuczki t. j. beczki żelaznej, z której już opłukane na czysto buraki szły dalej do krajania. Tu już byłem na zmianę, tzn. przez tydzień pracowałem w dzień, przez drugi w noc itd. z płacą 40 groszy.

Jakkolwiek w tej fabryce karjery nikt mi nie wróżył, stała bowiem na przeszkodzie moja głuchota, przecież zarządzający ~~nachem~~ fabryką poznawszy mię bliżej, coraz to nowe a odpowiedzialniejsze zajęcie mi przydzielali, i doszło w końcu do tego, że powierzono mi kierownictwo olbrzymią, dwukołową machiną, pomimo że na stanowisko takie wyznaczano tylko ludzi z rutyną i w wieku dorosłym. Dziś jeszcze, gdy chwilę tę sobie wspomnę, na śmiech mi się zbiera, jaki to huczek ta moja ostatnia „nominacja" w całej osadzie fabrycznej wywołała; rodzice zaś moi na pierwszą o tem wieść, pełni niepokoju, jęli mię przestrzegać a namawiać, bym prosił zarząd o wyznaczenie mi innego stanowiska, obawiali się bowiem nieszczęśliwego wypadku, o który zresztą nie trudno było. Uspokoiłem ich jednak – i na wyznaczonem stanowisku do końca wytrwałem.

Życie w fabryce upływało mi rozmaicie. W czasie ogólnego ruchu tj: od początku listopada, kiedy fabrykę zaczęto zasilać burakami, aż do zupełnego wyczerpania tegoż produktu, co następowało ~~między lutym a marcem~~ około marca, zależnie od tego, na jak długo zapas buraków starczył, zajęty byłem w fabryce. Po zastanowieniu zaś ruchu fabryki i gruntownem wyczyszczeniu i uporządkowaniu wewnętrznego jej urządzenia, pracowałem w polu, pod uprawę buraków przeznaczonem.

Jakkolwiek robotnicza ludność fabryki w rozmaitej

pore miała w pracy wynikłą z natury rzeczy dłuższą lub krótszą przerwę, ja przecież wypoczynku prawie nigdy nie zaznałem. Gdy bowiem na większe święta, jak Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, ruch w fabryce ograniczono już to dla dania ludności możności odpoczynku świątecznego, już to z konieczności wyczyszczenia maszyn, rezerwoarów itd., musiałem wtedy iść do tzw. parowni i – jak tam popolicie w mowie było – kuć kotły i popiół z pieców pod temiż kotłami ~~wygartywać~~ wygarniać.

Parownia był to rodzaj dużej hali, a przylegała ona bezpośrednio do głównego budynku fabryki. Służyła zaś – jak ~~to~~ sama nazwa wskazuje – do wytwarzania pary, która przeprowadzona rurami w całej fabryce, w ruch maszyny wprawiała. W środku tej parowni stał olbrzymi, w formie dnem do góry wywróconej paki, piec. W piecu tym mieściły się wyżej kotły wielkie, niżej zaś, pod każdym po dwa, kotły mniejsze, łączące się z sobą w tyle na kształt litery U, ~~a i połączone były z górnym dużym kotłem~~, a zwano je „buljerami". Każdy kocioł osobno z dwoma buljerami złączony, stanowił oddzielną całość. Frontowa strona pieca zaopatrzona była (w górze) w termometry dla oznaczania siły pary, na dole zaś w murze pieca ~~buljery~~ buljery posiadały silnie zaszpuntowane otwory średniego człowieka w pasie. W tylnej stronie pieca pod ~~wielkiemi~~ kotłami urządzone były paleniska. By więc tak kotły jakoteż buljery mogły być należycie ogrzane, były pod niemi próżnie na całej ich długości, a silny ciąg powietrza wszystkie te próżnie zasypywał popiołem, który od czasu do czasu trzeba było usuwać.

W kotłach, a szczególnie w buljerach, gotowana woda wytwarzała gruby, silnie do ścian przylegający, twardy jak kamień osad. Chcąc zatem kotły i popielniki wyczyścić, zawsze kolejno jeden piec pozostawiano nieczynnym, wodę z kotłów spuszczano, poczem odszpuntowawszy otwory, ochładzano wnętrze kotłów. Wtedy dopiero zrzuciwszy z siebie ubranie i ściągnąwszy bieliznę, tak w adamowym stroju, zaopatrzony w mały, (zwykłego młotka wielkości), oskard i olejną lampę, wraz z innymi chłopakami wciskałem się ciasnym otworem do buljera, gdzie skuleni i zgarbieni, gdyż wielkość średnicy ~~nie~~

swobodnie ~~usiedzenie~~ usiąść nie dozwalała, zawzięcie tłukliśmy oskardami w otaczającą nas ciasnym swym pierścieniem żelazną beczkę, aż iskry sypały, a pył odbijanego osadu, parny, mulasty wyziew i czad kopcącej lampy, przyprawiały nas o zawrót głowy.

Po należytem wykuciu kotłów zabieraliśmy się dopiero do usunięcia popiołu ze znajdujących się pod kotłami próżni. Zaopatrzywszy ~~się więc~~ w małe drewniane łopatki, coś w rodzaju kijanki, jakich praczki na wsi używają, wciskaliśmy się najwyżej w czterech jeden po drugim do tych swego rodzaju katakumb, których wysokość zaledwie leżeć nam dozwalała. Do czynności tej nie rozbieraliśmy się prócz zdjęcia z nóg obuwia, chropawość bowiem muru na spodzie i po bokach, a nad nami żelazo lutowanego w metrowych odstępach kotła, ~~przy~~ nadto miejscami ~~okruchy~~ żużle szkła, silnem gorącem z popiołu wytworzone, groziły pokaleczeniem, a prócz tego wszystkiego trudno stygnące, gorące mury popielników częstokroć tak parzyły, że tylko leżąc na grubej warstwie popiołu, można było w tych piekielnych norach z wielką biedą wytrzymać. Pracę mogliśmy ~~tę~~ wykonywać tylko czołgając się na brzuchu.

I pomimo takiej mordowni nie traciliśmy i tu animuszu. Gdy nam gorącość pieca i zmęczenie zanadto dokuczyło, czołgaliśmy się naprzód ku szybowi, gdzie był dół, w którym swobodnie można się było poruszać, a temperatura była znośniejsza. Tu już nikt podpatrzeć nas nie mógł. Wydobywszy zatem zabrane z domu karty, wynagradzaliśmy sobie trudy graniem ~~prostego~~ w „durnia". Najczęściej jednak urządzaliśmy w jamie takiej — szkołę, a ~~Nie śmiejcie się, szkołę w ścisłem tego słowa znaczenia,~~ w której ja ~~ma się rozumieć!~~ zajmowałem poczesne stanowisko bakałarza... Usadowiwszy się odpowiednio, ~~kreśliłem~~ przed oczyma towarzyszów kreśliłem na cienkiej warstwie popiołu pojedyncze litery alfabetu, potem sylaby, później zaś wyrazy, które przygodni uczniowie moi uczyli się rozeznawać, odczytywać, a w końcu przepisywać — rzecz prosta palcem lub gwoździem na warstwie popiołu. To znów opowiadałem rówieśnikom różne, z książek wyczytane historje, którym się oni w prawdziwem skupieniu ducha przysłuchiwali. Nieraz tej oryginalnej szkole oddawaliśmy się z takiem przejęciem, że aniśmy się spostrzegli, jak szybko czas upływał — i dopiero przełożony, który, mówiąc nawiasem, do

~~do~~ naszego pieca nigdy się nie wczołgał, lecz czynność swą sprawował przy doglądaniu temperatury pary, - zauważywszy, że zadługo się nie pokazujemy, podnosił niespodzianie szyber... Wtedy gwałtowny ciąg powietrza gasił nam momentalnie kaganki i zasypywał nas tumanem popiołu. Naraz razem zrywaliśmy się, a zamykając oczy i zatykając dłonią usta i nos, wczoł= galiśmy się na wierzch, gdzie otrzepawszy z siebie ~~jako tako~~ popiół, szliśmy, wyglądający jak nieboskie stworzenia, do domu, przedstawiając swem zamorusa= niem ciekawe widowisko. Trzymając z konieczności podczas pracy w popiele usta zamknięte, oddychaliśmy jedynie nosem, pod którym ciepły oddech kropląc się, przyczyniał się do łatwiejszego osiadania kopciu z lampy i kurzu, to też przechodnie pokpiwali z nas, mówiąc, że „czarna krew" z nosa nam ciecze.

Przyszedłszy do domu i spożywszy naprędce skromną, jak zawsze wieczerzę, klękałem do pacierza, poczem zebrawszy się, upadałem bezwładnie niby kloc na pościel i zaraz zasypiałem, by znów o czwartej do dnia wstawać i ruszać do fabryki do dalszej pracy.

W międzyczasie przeprowadziliśmy się z opisanych poprzednio baraków do wygodniejszego mieszkania w ka= mienicy na piętrze. Mieszkanie to zajmował jeszcze lokaj dyrektora fabryki, ~~pan~~ Wojciech D., człowiek z nie= pośledniem wyszkoleniem, dość młody, wraz z nadobną żoną. Poróżniwszy się z dyrektorem, utracił służbę i zmuszony był oglądać się za nową posadą; tymcza= sem mógł jeszcze kilkanaście dni w dotychczaso= wem mieszkaniu zostać.

Mieszkanie to składało się z jednej, ładnej prezentą stancji, spiżarki i sionki, w której to ostatniej ubikacji trzymano wiaderko z wodą do picia i parę ku= chennych sprzętów. Przy przeprowadzce do tego nowego mieszkania nie byłem obecny, w fabryce pracując. ~~Przybyw~~ Przyszedłszy późnym wieczorem z fabryki, gdzie właśnie kułem koty, po spożyciu wieczerzy i zmówieniu pacierza, śmiertelnie pracą znużony położyłem się w łóżko między spoczywających w niem już obu braci.

W nocy zbudziło mnie silne pragnienie. Zszedłem ~~Zło~~ ~~[illegible]~~ więc z łóżka cichutko, by drugich nie budzić i ~~x~~ macając po ścianach, trafiłem do drzwi, za które ~~wyszedłszy~~ szukałem wody. Obmacawszy parokrotnie dokoła przy ścianach i nie znalazłszy czegom szukał,

dałem w końcu spokój i wróciwszy do stancji, odmacałem łóżko, a odrzuciwszy ze śpiących kołdrę, ~~łaz~~ wlazłem między nich, ale ci jęli zrzuconą z nich pierzynkę nerwowo naciągać, usiłując równocześnie z łóżka mię zrzucić. Co to ma znaczyć?... Dotykam dłonią jednej twarzy i o!... namacałem wąsy... Macam na drugą stronę – i wymacałem... wypukłe niewieście piersi... Zaboga!... a dyć ja kołując w komórce, straciłem świadomość kierunku i zamiast w swoje między braci – w łóżko między państwo Wojciechów wlazłem...

Wyskoczyłem z tego łóżka i trafiwszy do braci, skulony z ukrytą strusim sposobem głową, prze~~cz~~czekałem kilka minut, poczem wstawszy jak najciszej, wciągnąłem buty na nogi, ubrałem się i na palcach, trafiwszy już do właściwej sieni, pognałem do fabryki.

W następny wieczór postawił mi pan Wojciech ~~takie~~ pytanie: „Czego to „książę" Ferdynand szukał u nas w komórce i na łóżku? ~~... czy pozwany się przyśnił?~~"

~~VI.~~

Zajęcie moje w fabryce właściwej było już inne. Praca nie była ciężka, wymagała zato czujności. Tu, czy to przy regulowaniu temperatury przy „dyfuzorach", czy też przy doglądaniu rezerwoarów, przeważnie przechadzałem się. Ruch, wir kół, stuk maszyn na dole, wszystko to wpływało dodatnio na usposobienie. Tu miałem możność częstszej wymiany słów i zdań z najbliższymi towarzyszami pracy.

Razu jednego najbliższy mój towarzysz w fabryce, imieniem Kostek, wspomniał mi, że w większych miastach są szkoły nawet dla głuchoniemych, w których uczniowie uczą się rozmawiać „na migi". Abecadła migowego mój opowiadacz nie znał, co wszakże nie przeszkodziło nam własnego pomysłu alfabet ułożyć, i jeszcze tegoż dnia obaj na pamięć wyuczyliśmy się go. Odtąd wzajemne porozumiewanie się poszło nam łatwiej, co nadto miało i tę dobrą stronę, że gdy w fabryce tuż było z po=

wodu huku i stuku rozmawiać głośno, my obaj nawet na odległość z łatwością na migi porozumiewaliśmy się. Nowy ten sposób porozumiewania zainteresował wszystkich naszych rówieśników, tem więcej, że obaj z Kostkiem mogliśmy śmiało w ich obecności różne kawały o nich sobie wykładać, czego oni nie rozumiejąc, a domyślając się tylko po naszych minach, zapragnęli koniecznie takiej na migi rozmowy od nas się nauczyć. W tem jeno była bieda, że większość towarzyszów nietylko pisać ale i czytać nie umiała. Ciekawość przecież i te trudności przemogła. Nauczył się jako tako jeden, potem drugi i trzeci, od nich zaś dalsi koledzy, – ~~no i co powiem~~ z czasem chłopcy, którzy niedawno najmniejszego pojęcia o literach nie mieli, teraz już zabierali się do nauki czytania i pisania, ku czemu znajomość alfabetu migowego, jaki z Kostkiem ułożyliśmy, niby czarodziejskie zaklęcie drzwi Sezamu im otwarła.

Daj Boże, by to wspomnienie dostało się do rąk dawnych moich kolegów z cukrowni zakrzówieckiej, a przynajmniej do rąk dzieci ich, które zapewne umiały od ojców słyszeć, w jaki sposób przyszli oni do przyswojenia sobie sztuki czytania i pisania. Jest to najpiękniejsze z życia mego wspomnienie, a spodziewam się, że i dla nich tak samo miłem ~~wspomnienie to~~ ono będzie.

Po zupełnem zastanowieniu ruchu w fabryce i porobieniu w niej porządków, szedłem do robót w polu, gdzie czynność rozpoczynała się od rozwożenia i rozrzucenia obornika, a po należytem zoraniu roli przystępowało się do sadzenia buraków. Pielęgnacja buraków, polegająca na motyczkowaniu, zasilaniu saletrą i popiołem, wreszcie parokrotnem pieleniu, wyrywaniu chwastów z bruzd, podorywaniu i nakoniec usuwaniu ukazujących się na burakach wystrzałów, trwała z przerwami prawie do września.

Robota w polu była dla mnie znośniejsza, tu bowiem oddychałem pełną piersią. Do motyczkowania i pielenia szły zazwyczaj kobiety, dziewczęta i chłopaki-wyrostki. Z chłopaków na wzmiankę zasługuje rówieśnik mój Pietrek Stankiewicz, do pracy chłopak niebardzo skory, zato do figlów jedyny.

Stąd to nadzorca nasz, pan Grudzień, który był wielce dla nas pobłażliwy, przydzielał Pietrka do wynoszenia z bruzd chwastów. Figle tego psotnika skrupiały się najwięcej na pracujących z nami dziewczętach. Raz ~~up. oświadczył Pietrek~~ na robocie oświadczył Pietrek wobec wszystkich jednej z najładniejszych dziewcząt, że kiedy tylko zechce, to ją pocałuje. — „Niedoczekanie twoje" — rzekła ~~tem~~ zaintrygowana tem nieoczekiwanem wyznaniem dziewczyna — „prędzej, niż ty mnie, pocałuje ciebie moja motyczka". — „No, no" — Pietrek na to — „zobaczymy, czyja będzie prawda". I zabierał się niby do roboty, schylając się i nabierając do zawieszonego na szyi płóciennego fartuszka kupki chwastu, a upatrzywszy stosowną chwilę, skradał się cicho niby kot, a przyskoczywszy z tyłu do Antosi i raptownie wpół ją objąwszy, wycisnął na jej policzku gorący całus, że jeno mlasło, poczem w zajęczych susach ~~dawał~~ dał drapaka. Oj byłoż ~~to~~ było wesołości a serdecznego śmiechu co niemiara! Śmialiśmy się wszyscy, śmiał się poczciwy nasz nadzorca, śmiała się sama, w tak niezwykły sposób adorowana dziewczyna, śmiał się Pietrek.

Ludność robotnicza tej naszej osady składała się z różnej narodowości i różnych stanów. Byli Rusini prawosławni, Niemcy protestanci, Żydzi, przeważali jednak Polacy, a między nimi trafiało się wielu z wyższem wykształceniem, a wśród nich pewien szlachcic, niejaki Kochański, który straciwszy całe swe mienie a niechcąc żebrać jałmużny u familji, pracował wraz z nami jako zwykły robotnik, od wszystkich lubiany.

Było tu także kilkoro ludzi z Małopolski, a między nimi Jan Wrempa z powiatu mieleckiego, serdecznie z nami żyjący. Mimo że był ~~on~~ analfabetą, odznaczał się Wrempa bystrym na sprawy poglądem, a przytem żywym temperamentem. Ten temperament i stąd częstokroć poza wszelką miarę posunięta śmiałość sprawiły, że ~~w między czasie~~ musiał się ~~Wrempa~~ z osady fabrycznej wyprowadzić.

A było to tak: Chodził Krempa do pobliskiego, właściciela fabryki będącego lasku, gdzie wykopywał pojedyncze pniaki po ściętych sosnach, rąbał je i w sągi układał. Była to praca żmudna i niełatwą było rzeczą każdy odłam pniaka na pomniejsze części wrąbać. To też gdy jeden z lustrujących robotę starszych urzędników zauważył zbyt grube, w półsągach ułożone kawałki, zbeształ słownie Krempę, oświadczając, że za tak nieuczciwie wykonaną robotę zapłaci rubla kary. Zirytowany tem Krempa ~~[illegible]~~ rzucił urzędnikowi prosto w twarz słowami: „Rubla kary, psiakrew, zapłacę, a za drugiego kupię pistolet i palnę ci w łeb"... Tem się biedak pozbawił ~~[illegible]~~ i zajęcia i bezpłatnego mieszkania w ~~barakach~~ osadzie fabrycznej i przeprowadził się do pobliskiej wsi.

W tej osadzie fabrycznej łatwiej już było o książki – ma się rozumieć „legalne". Dostał mi się raz „Bajarz polski". Co to za śliczna, a dla mnie wówczas wprost nieoceniona książka! Pełna dziwów, „jakich ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało". A lubo były to tylko baśnie, przecież o tendencji szlachetnej, pouczające, że każdy dobry uczynek i poświęcenie nagrody słusznej w tem jeszcze życiu się doczeka. Z tego to „Bajarza" najwięcej czerpałem materjału do opowieści nietylko dla rówieśników ale i dla starszych towarzyszów pracy. Bywało, że znajdę się w ich gronie, wtedy oni z prośbą: „Gadaj przepowiadkę!" I słuchali tych opowieści z wielkim skupieniem, a od czasu do czasu wyrywały się z ust słuchaczy moich uwagi, że „doprawdy warto nauczyć się czytać".

Na skraju pól, do fabryki wówczas należących, gdzieśmy zazwyczaj w każde lato pracowali, tuż przy samej drodze do Majdanu prowadzącej, po prawej stronie, w miejscu, gdzie bierze swój początek przerzynający te pola zadrzewiony wądół, zainteresowały mię dwa małe, ~~[illegible]~~ drewniane krzyżyki, na podłużnym kopczyku postawione. Na krzyżach tych prócz wyciętej liczby 1863 żadnego napisu nie było. Ponieważ podobne małe krzyżyki i gdzieindziej spotykałem, zacie-

kamiony zapytałem raz Kostka, który, jak i jego rodzice, prawosławną wyznawał wiarę, coby te liczby oznaczały, na co tenże krótko odpowiedział:
„Od powstania".
– „Od powstania... a co to znaczy powstanie?"
– „Wojna".
– „Wojna? a z kim?"
– „Ze zbójami, których tu wtedy dużo było".
– „Ze zbójami?" wypytuję coraz bardziej tą niezwykłą opowieścią zaciekawiony.
– „Tak, ze zbójami. Polaki były zbóje".
– „Polaki zbóje!?" – Acha, myślę sobie, przeciem cię złapał!

Później wreszcie dowiedziałem się skąd inąd tyle tylko, że krzyże owe postawiono ku pamiątce tych, którzy w walce z Moskalami o wolność Polski na tem miejscu polegli.

Jakkolwiek cała zasłyszana o owych krzyżach historja była wówczas dla mnie niewyraźna, mglista, przecież ~~odrazu~~ w mem sercu zbudził się odrazu jakiś pietyzm dla tych kurhanów. Ludzie idąc drogą mijali te krzyżyki obojętnie, tak, jakgdyby żadnego znaku tu nie było. Ja jednakże kiedy się tylko ku owej mogiłce zbliżałem, oczy mimowolnie ku niej zwracałem i głowę odkrywałem. Pewnego ranka po nocy burzliwej, mając kurhanek ten mijać, zauważyłem ze smutkiem, że jeden z krzyżyków na grobie leżał złamany. ~~Drugiego~~ Następnego dnia, idąc tą samą drogą, ujrzałem ku wielkiej swej radości na miejscu złamanego stojący nowiutki krzyżyk, a na nim cyfry: 1863. – „Chwała Bogu – pomyślałem – biją jeszcze serca ~~oczarowdcc~~ życzliwe dla tych poległych".

IV. ~~III.~~

U znachora. – Pielgrzymka do Bychawy. – Śmierć dziadka Łukasza. – Przeprowadzka ~~do Kolicy~~ pod Bełżyce. – Na Karczowisku. – Nazad do Zakrzówka. – Z Zakrzówka pod Chełm. – Praca w lesie. – W hucie szkła. – Pożegnanie Chełmszczyzny.

Stosunek między mną a tymi kolegami z osady fabrycznej był szczerze przyjacielski i niejeden raz tak oni jakoteż i ich ojcowie użalali się nad kalectwem ~~mojem~~; jeź raz, ciągle przez ojca

nadzieją pocieszany, wierzyłem święcie, że los mój wkrótce się odmieni. To też pewnego lutowego dnia ucieszyłem się, usłyszawszy od starszego brata, że ~~nazajutrz~~ jutro przededniem pojedziemy wraz z ojcem do pewnego sławnego doktora w okolicy, który „leczy wszelkie choroby".

Nazajutrz wstaliśmy do dnia, a spożywszy ~~śniada-nie~~ wcześnie przez matkę przygotowane śniadanie i ubrawszy się ciepło, oczekiwaliśmy na konie i sanki. Jakoż wkrótce przed nasze mieszkanie zajechał dobrze znajomy obywatel z Żakrzówka, ~~pan~~ Hamerski, kowal z zawodu. Wzięliśmy więc przygotowane na drogę węzełki z chlebem, ojciec zaś sporą flachę wódki, bez którego to specjału sławny ów lekarz – jak mię brat objaśnił – wizyt nie przyjmuje, i w imię Boże w drogę!

Jak zwała się wieś, do której jechaliśmy, w którym kierunku i jak daleko leżała i wreszcie jak się nazywał ów doktor, – tego wszystkiego niestety nie powiedziano mi; dość będzie nadmienić, że ~~w~~yjechawszy z domu przededniem, ~~na miejsce~~ do celu naszej podróży przyjechaliśmy dopiero przed samym zmierzchem. Zajechawszy przed rezydencję „doktora" niemile uderzony zostałem widokiem jej obskurności i zaniedbania. Była to najpodlejsza stara, szczupła wiejska chata.

Wszedłszy do izby zastaliśmy naszego jegomościa, w wieku około 50 lat, usadowionego na ławie plecyma do ciepłego pieca; połowica zaś jego, siedząc na krawędzi niedbale zaścielonego łóżka, zajęta była czynnością łatania starego mężowskiego kożucha. Ubiór gospodarza stanowiła brudna, sznurkiem pod brodą spięta, zgrzebna koszula, zza której niedyskretnie wyglądały kosmate piersi, i z takiegoż materjału portasy. Wzrost niski, krępy, tusza dobra, czupryna bujna, na której gęsto osiadły puch kazał się domyślać, że grzebień jest jej posiadaczowi nieznany. Twarz rozlana, nieco obrzękła i ogórkowego kształtu o fioletowem zabarwieniu nos – mówiły dobitnie o wstręcie ~~naszego~~ owego eskulapa do pracy fizycznej a pociągu do kieliszka.

Na nasze przybycie i pochwalenie Pana Boga gospodarz ani myślał zmienić wygodnej dla siebie pozy przy piecu, a tylko odpowiedział „Na wieki".

A kiedy ojciec przedstawił mu cel naszego przybycia, które poprzedziła głośna na okolicę sława jego, on, nie ruszając się nawet, odpowiedział tylko: „To się wie, to się wie!" Dopiero ukazanie się na stole wydobytej przez ojca flaszki — obojgu gospodarstwu roziskrzyło oczy. Poszła kolejka, do której — ~~ma się rozumieć~~ rzecz prosta — ja z bratem nie należałem, ++ potem druga. Gospodarz stał się rozmowniejszym i jął wypytywać ~~począł~~ o miejsce naszego zamieszkania i zajęcie, wreszcie o chorobę i jej przebieg, na co otrzymawszy potrzebne wyjaśnienia, przystąpił do swych doktorskich czynności, zaczynając odemnie. Skinąwszy, bym usiadł na podsuniętym stołku, dał mi w rękę zapaloną gromnicę i kazał się przeżegnać. Przeżegnałem się i nie dlatego, że tak znachor chciał, lecz żeby wyjednać dla siebie opiekę Opatrzności, gdyż całe to niezwykłe zachowanie się owczarza poczęło mnie z równowagi wyprowadzać, — a przeżegnałem się tak głośno i tak nabożnie, że u wszystkich obecnych wywołało to głośną uwagę — naturalnie na korzyść „doktora".

Rozpoczął się eksperyment. Znachor włożywszy mi do uszu końce swych obu wskazujących obleśnych palców, zlekka je naciskał, potem, odjąwszy je, ~~przyłożył~~ ciągnął do uszu (moich) ~~swoje~~ grube swoje wargi i chuchał, szeptał, potem krzyczał w nie, sprawiając mi tem nieznośne w uszach łoskotanie; wreszcie obnażywszy mi pierś, uszy swe do niej przykładał i niby słuchał jakiegoś tajemniczego głosu, naciskając mi równocześnie grubemi paluchami otwory uszne, podczas której to ceremonji zbierała mię, oj! zbierała ochota skierować płomień trzymanej świecy do rozczochranych kudłów na łbie kuglarza.

Załatwiwszy się w ten sposób ze mną, ~~przy~~stąpił znachor do zbadania brata, poczem wydał swą opinję i przepisał ustne recepty. Mnie mianowicie przepowiedział powrót do zdrowia za lat cztery, a polecił, by mi przez ten czas kładziono w uszy mózg zajęczy; włosy zaś miałem koniecznie nosić długie, na ramiona spadające, a to gwoli utrzymania w ciągłem cieple tak głowy jakoteż uszu. Jaką receptę zapisał bratu, tego już niepomnę.

I tu przyznać znachorowi trzeba, że urządził się bardzo sprytnie i dowcipnie. Po wybadaniu bowiem jakiemu zajęciu się oddaję, wiedział już

doskonale, że noszenie aż na ramiona spadających włosów przez tak długi czas - będzie dla mnie ze względu na sposób mych zajęć w fabryce wprost niemożliwe. Znachor zaś w danym razie łatwo się wykręci, że dlatego przepowiednia jego nie sprawdziła się, iżeśmy się do udzielonych przezeń rad ściśle nie zastosowali, - zatem i doktorska jego sława nic nie ucierpi.

Innym razem (jeszcze przed opisaną co dopiero historją ze znachorem) wzięła mnie z sobą pobożna moja matka ze gromadką kobiet do oddalonego dwie mile miasteczka Bychawy, poza którem to miastem na polu miało mieć miejsce według miejscowej legendy objawienie się Matki Boskiej na jednym z krzyżów i cudowne uzdrowienie jakiegoś pana.

Stanąwszy u celu, wpadła mi przedewszystkiem w oczy niezliczona ilość płytkich, podłużnych dołków, a poza tem całe legjony przekupniów i włóczęgów, przez którą to ciżbę ledwie przecisnęliśmy się. Oprócz dwu zwykłych drewnianych dużych krzyżów, które pobożni dokoła obchodząc całowali, nie było nic więcej takiego, coby o świętości miejsca wyraźnie świadczyło.

Upatrzywszy stosowne miejsce, wybrała matka łopatą podobny innym dołek, a poleciwszy mi legnąć na ziemi i ułożyć w dołku głowę, przykryła mi ją odkopaną z wierzchu ~~dołka~~ darnią - i czekaliśmy cudu.

Lecz trudno. Łaskę Niebios nie w taki sposób się zjednywa, tembardziej, jeśli obok wiary w cuda w Boże tak samo dobrze pokłada się wiarę w nadprzyrodzoną moc sprytnych oszustów, jak w opisanej ze znachorem sprawie, a z pielgrzymek takich zbierają obfite żniwo jedynie falangi próżniaczych przekupniów i czeredy wałęsających się tam różnych podejrzanych indywiduów.

Wszystkie te niefortunne zabiegi ze przywróceniem mi zdrowia miały poza stratą grosza jeszcze i tę, może najbardziej ujemną stronę, że niweczyły we mnie wiarę w odzyskanie kiedykolwiek słuchu.

W Kwietniu 1883 r. przyniosła nam poczta list od stryja Walentego z Wielowsi z wezwaniem, by ojciec „prędko przybywał do łoża umierającego ojca". Rodzice moi natychmiast wybrali się w podróż. Do Wielowsi przybyli niestety zapóźno, już po śmierci i pogrzebie dziadka Łukasza. Zmarł on 14 Kwietnia 1883 r. w 65 tym roku życia, na zapalenie płuc. Osierocił troje drobnych dzieci z drugiej żony, której część posiadłości na Kępie testamentem wydzielił. Połowę tej posiadłości otrzymał stryj mój Walenty, stryj zaś Franciszek dostał połowę nieco dalej morgę pola, – ojcu natomiast mojemu, który przy skonaniu dziadka obecnym nie był, nie dostało się nic. ~~...~~

~~VIII.~~

Coś w cztery lata pobytu naszego w Zakrzówku fabrycznym, ojciec dał się lekkomyślnie namówić przygodnemu faktorowi do przeprowadzenia się w pobliże Bełżyc, gdzie – według zapewnień tegoż faktora – mieliśmy znaleźć byt znośny. Przeprowadzka nastąpiła u schyłku zimy, zdaje się 1884 roku. Dom, w którym zamieszkaliśmy, własność miejscowego dworu, stał na uboczu i służył na mieszkanie trzem rodzinom. W jednej izbie, sienią oddzielonej, mieszkał ów faktor z rodziną, w przeciwnej izbie mieszkała rodzina druga, alkierz zaś, do którego wchodziło się przez tę drugą izbę, mający jedno tylko okno w ścianie tylnej, od pola, nam na mieszkanie służył.

Zajęciem naszem miała tu być samodzielna uprawa buraków cukrowych, na mającym się nam wydzielić cztero czy pięciomorgowej ~~obszarze~~ przestrzeni pola dworskiego; wynagrodzenie zaś jakie otrzymać mieliśmy, zależnem było od wyprodukowanej ilości buraków. Oprócz tego opał i ordynarja. – Na krótko po sprowadzeniu się tu, ojciec, rozpatrzywszy się bliżej w położeniu, poznał poniewczasie, iż zostaliśmy haniebnie okłamani przez faktora, który działał tu

jedynie we własnym interesie. Postanowił zatem ojciec, że przeniesiemy się naraz do Żakrzówka, dokąd też niebawem udał się celem uzyskania zezwolenia zarządu cukrowni na ponowne zamieszkanie w tejże osadzie, zabrawszy z sobą brata mego, Józia.

Wspomniany dwór pod Betzycami posiadał kilkadziesiąt morgów karczunku, z którego drzewo uprzątnięto. Na tej to nowinie odmierzano morgowe działki, które między potrzebujących pracy rozdzielano do skopania, płacąc za skopanie jednej morgi 25 rubli. I my też wzięliśmy do skopania jedną morgę. Podczas nieobecności ojca i Józia, kiedy śniegi stopniały i ziemia obeschła, z matką i młodszym bratem, który do cięższej pracy nie był jeszcze zdolny, chodziłem na naszą działkę, którą kopać można było jedynie ciężkiemi, szerokiemi motykami. Mnogość pniaków i korzenia, wreszcie korzeniewina i inne krzaki czyniły pracę nad wyraz trudną. I rychło przekonaliśmy się, że dwie pary słabych rąk nie wiele tu dokażą. Dłonie nam popękały, nakoniec poczęły krwawić i w końcu puchnąć, a całe ręce omdlewały.

Raz siedząc w domu zauważyłem, jak matka skrzynię, w której bieliznę i ubranie przechowywała, przy pomocy kija do okna przymierzała. Na moje zapytanie co robi, wzruszyła tylko ramionami. Pewnego późnego już a ciemnego wieczora, gdy zdawało się, że sąsiedzi nasi już śpią, rozległo się za naszem oknem pukanie, a zwróciwszy ze matką oczy w tę stronę – ujrzałem ojca, dającego ciche znaki. Mnie i Frankowi matka ubierać się kazała. Odrazu zrozumiałem wszystko: mieliśmy stąd cichaczem uciekać, oknem sprzęty wynosząc, – i dlatego to matka skrzynię do okna przymierzała, by się przekonać, czy przejdzie. Krok ten niezwykły tem się zaś tłómaczył, że do jawnego wyprowadzenia się dziedzic nie dopuściłby, mając do ojca pretensje za przewiezienie nas tu swoimi końmi, zużyty opał, mieszkanie, a nad tem wszystkiem moralne zobowiązanie ojca do przyjęcia pracy, a których to pretensyj, jakkolwiek w rachunku wynosiły tylko kilka rubli, ojciec na razie zaspokoić nie mógł.

Zbieraliśmy więc graty i dostawiali do okna, skąd ojciec je odbierał i za ścianą stawiał; poczem wydostawszy się oknem na dwór, wynosiliśmy ten dobytek

na pole, gdzie już oczekiwały wynajęte konie i wóz, na który furman sprzęty ładował. Już w początku tej czynności poczęło mi serce bić gwałtownie, przejęła mię bowiem obawa, że szmer i stuk pobudzi sąsiadów, a wtedy cały zamiar spełznie na niczem. Aby się to wszystko udało, ~~trzeba~~ konieczny był ~~posiadać~~ ku temu mistrzowsko-złodziejski spryt.

Jakoż obawy mnie nie zawiodły. Może w pół ~~kwa~~ godziny ~~drama~~ po zjawieniu się ojca, w mroku nocy zamigotało w oddali światełko, które szybko ku nam się zbliżało, a za chwilę stanęły przy nas trzy sylwetki, w których przy blasku latarki rozpoznałem: ekonoma, współmieszkańca z poza drzwi i wreszcie sąsiada-faktora. Tu nastąpiła scena sprzeczki i kłótni, podczas której drżałem na myśl możliwej bitki, do czego jednak na szczęście tamci przez respekt dla siły fizycznej mego ojca najmniejszej ochoty nie mieli. Zaczem ekonom zadowoliwszy się pozostawionym mu fantem, dał nam spokój. Zabrawszy więc co się dało, ruszyliśmy nocą w drogę do Żakrówka, gdzie też za kilkanaście godzin szczęśliwie i z prawdziwą ulgą stanęliśmy.

Już ~~W~~ w styczniu 1886 r. ruch cukrowni w Żakrówku został ~~już~~ całkowicie wstrzymany, fabryka zaś miała być odtąd zamkniętą na czas nieograniczony, powodem czego ~~miała~~ była zła administracja, a stąd próżna kasa. A ponieważ żyliśmy – jak zawsze – z dnia na dzień, brak zatem zarobku chociażby przez krótki tylko czas, mógł nam odjąć środki do życia. Trzeba więc było myśleć o przerzucenie się w odpowiednie, stały zarobek dające strony.

Mieliśmy krewnego wielowsiaka, Jędrzeja Dz., który wówczas przed kilku miesiącami przesiedlił się z Żakrówka fabrycznego na ziemię Chełmską, skąd pisał do nas, że bardzo dobrze tam się mu powodzi, a synowie jego mają stały zarobek w pobliskiej hucie szkła. Miejscowość ta, do której ów Jędrzej nas wabił, oddalona była od Żakrówka sporo mil. Ojciec nie chcąc narażać się na trudy i koszta podróży gwoli samego tylko zbadania stosunków na miejscu, a polegając na słowach brata, jak Jędrzeja zwykle nazywał, postanowił prosto zaraz po uregulowaniu interesów w Żakrówku tam się ze wszystkiem przeprowadzić.

I tak też się stało.

W wigilję naszego ~~wyjazdu~~ odjazdu odwiedził nas poczciwy Krempa wraz z żoną. Wszedłszy do izby i pochwaliwszy Pana Boga, stał chwilę przy drzwiach, jakgdyby się czegoś wahał; wnet jednak na znak żony zrobił krok naprzód, a zagłębiwszy rękę w kieszeń sukmany, począł coś wydobywać, aż i wydobył — żywą kurę, którą wspaniałomyślnie matce mej ofiarowywał. Matka wszakże znając stosunki Krempów, wiedziała dobrze, że kur oni nie mają; nie kwapiąc się zatem do przyjęcia podarku, by ich, równie jak my sami biednych, na stratę nie narażać, zapytała, jak do tej kurki przyszli? Zaambarasowany nieco tem pytaniem Krempa wyznał, że pragnął z serca coś nam w chwili rozstania w prezencie ofiarować; gdy jednakże nie miał (w domu) ~~nie mając jednakże~~ nic odpowiedniego na ten cel, całem bowiem ich ~~przedstawiającem jakąś wartość~~ mieniem był jedyny syn Marek, — trafiła się mu szczęśliwie — nieprzymierzając jak patrjarsze Abrahamowi zaplątany w krzakach baran, którego miast syna Izaaka Panu (na całopalenie złożył) ~~ofiarował~~ — ta oto kwoczka na drodze, którą schwytał, i o przyjęcie jej prosi. Ale matka ofiarowywanej w tak pospolity sposób zdobytej ofiary przyjąć nie chciała, zaczem kwoczka (nazad wróciła) do kieszeni naszego poczciwca.

Rankiem dnia następnego byliśmy gotowi do drogi.

Naprzód ruszył wóz, wyładowany niezbędnym domowym statkiem, między którym usadowiła się matka z dwoma mymi młodszymi braćmi: Frankiem i Władkiem, ja zaś odosobniony postępowałem w tyle. Przechodzący mimo koledzy przystawali i żegnali się ze mną, co tak mnie rozczuliło, że począłem unikać spotkania z nimi, żeby się z żalu nie rozpłakać. Anim wtedy przypuszczał, że do chwili, kiedy wspomnienia te kreślę, już ich nie zobaczę, — a Bóg wiedzieć raczy, czy jeszcze w tem życiu to nastąpi.

Jadąc dzień i noc z krótkiemi przystankami u przydrożnych karczem dla rozgrzania skostniałych członków, nareszcie drugiego dnia około południa stanęliśmy u celu podróży. Była to kolonja, niedawno na wyrębie leśnym powstała, nazwana Chromówką. Tu przedewszystkiem trzeba było pomyśleć

o mieszkaniu, które też na drugi dzień po naszem przybyciu ojciec zgodził u jednego z kolonistów, z którym wspólnie w jednej izbie mieszkać mieliśmy.

Rychło przekonał się ojciec, że i tu niestety zawiedziony został; ale nie było czasu na próżne żale. Należało myśleć o jakimś zarobku, bo grosiki w matusinych woreczkach były na wyczerpaniu. Ale na razie nie tak łatwo było dostać robotę w kuźni, do której najprostsza droga a właściwie ścieżka, przez dęby i sapy prowadząca, okazała się conajmniej dwa razy dłuższa od drogi z listu kochanego Jędrzeja.

Nareszcie po paru dniach znalazła się robota przy rąbaniu i składaniu w sągi drzewa w lesie, odległym około 4 wiorst od miejsca naszego zamieszkania, do której to roboty postanowiliśmy chodzić.

Wstając przed świtem spożywaliśmy wcześnie przez matkę przyrządzone śniadanie, na które składał się jęczmienny, na blasze kuchni upieczony podpłomyk oraz żur, szumnie wówczas „barszczem" przez nas zwany, – i okutawszy się w co się dało, z piłą i siekierami wychodziliśmy z domu, zaopatrzeni w garnuszek na gęsto na wodzie zgotowanej jęczmiennej kaszy, która to strawa trzem nam tj. ojcu, Jasiowi i mnie starczyć miała aż do czasu powrotu na noc do domu.

Praca w lesie nie powiem żeby do lekkich należała. Drzewo do ścinania i rąbania przeznaczone – były to przeważnie młode, rosochate dęby, a obok nich brzozy. Zrąbanie jednej sągi, od której płacono wówczas około 60 kopiejek, zabierało nam trzem w tych pod każdym względem niekorzystnych warunkach nieraz dwa dni uporczywej pracy z krótką na obiad przerwą, podczas której rozpaliwszy ogień, przystawialiśmy doń wspomniany garnuszek do odgrzania, ciągle nim obracając ~~celem~~ dla uchronienia naszego skarbu od przypalenia. ~~Potem (przysiadłszy) blaszaną łyżką wydobywszy bryłki bryłki kaszy na połę swoi~~ Potem przysiadłszy i wydobywszy blaszaną łyżką bryłki kaszy na połę zwisającego z grzbietu łacha, braliśmy obyczajem mużyckim palcami ten dar boży i – chap! – uważając przytem, by najmniejszej choćby drobiny na ziemię nie uronić. Równo z zachodem słońca wracaliśmy na noc do domu, gdzie czekała nas podobnie wybredna wieczerza, którą spożywaliśmy z wilczym apetytem. W takich warunkach pracowałem w lesie prawie do końca zimy.

Czułem się jednak wówczas nie najgorzej.

~~Szut~~

~~Wyobrażam sobie, że niejeden z moich czytelników gotów się na tem miejscu nad moją dolą rozczulić. O, co to, to nie! Jak bardzo źle znów mi nie było.~~ Owszem, swobodny ruch, powabny obraz lasu i świeże powietrze, a nad tem wszystkiem nieskrępowana wola, bardzo dodatnio na usposobienie wpływały. I gdyby tylko nie ten nieszczęsny żołądek, który zbyt często z natarczywem domaganiem się swych praw człeka prześladował, byłoby mi nawet dobrze.

Wielu z miejskich wyelegancowych i jak lalka wymuskanych panków, z których jedni o burakowej twarzy, w brzuchu jak beczka grubaśni, drudzy zaś jak kreda blado i jak tyka chudzi, — w jednym jak i drugim przypadku skutkiem braku ruchu i stęchłego miejskiego powietrza, a zwłaszcza częstych a obfitych libacyj, — narzeka na niemoc, a głównie na chorobę żołądka. Takim radziłbym, by zamiast odbywać kosztowne podróże do zagranicznych „badów" i tam czy to płukać swe przetłuszczone ciała, czy też pić ohydnego smaku „mineralne" wody, — brali siekiery i szli do lasu drwa rąbać, a ręczę, że rychło nietylko zdrowie i apetyt ale i dobry humor odzyskają. Kto nie wierzy, niech spróbuje.

Z początkiem wiosny chodziłem z Józiem przez krótki czas na roboty przy sypaniu wału budującej się tam wówczas, a prawie już na ukończeniu będącej drogi żelaznej, zarabiając dziennie coś około 25 kopiejek. Przy robotach tych przeważali Niemcy.

Pewnej niedzieli zjawił się u nas w Chroindwce jeden z majstrów hutniczych z Rudy i zaproponował rodzicom 4 ruble miesięcznie za regularne posyłanie mnie do niego do huty, oświadczając zarazem, że skoro tylko nabędę odpowiedniej w fabryce wprawy, wynagrodzenie stosownie podwyższy. Troska zaś nad zaspokojeniem codziennych potrzeb mego żołądka, zostać miała i nadal przy rodzicach. Po krótkim targu propozycję rodzice przyjęli.

Odtąd codziennie chodziłem do oddalonej 2 wiorsty huty.

Sam środek tej fabryki zajmował olbrzymi, kolistego kształtu piec z drewnianem dokoła wzniesieniem dla hutników, który zanurzając końce żelaznych „piszczałek" w ognistej lawie szkła i wyjmując

napowrót, wydmuchiwali w przymocowanych niżej do brzegów wrzecienia prasach żelaznych rozmaite przed=mioty, jak flaszki, ~~[illegible]~~ lampy, i szkiełka do nich itp., które po wyjęciu z prasy składali ~~na~~ w płytkich skrzynkach z piaskiem, skąd już przy pomocy dłu=gich, drutem na końcu napiłkowanych tyczek chłop=cy brali i układali warstwami w gorących piecach, gdzie celem zahartowania pozostawały aż do zupełnego wychłodnięcia.

Huta ta tak ze swem urządzeniem jak i spo=sobem prowadzenia w niej pracy, nie miała dla mnie wielkiego powabu. A lubo brać hutnicza tworzyła niejako związek kochających i wzajemnie w potrzebie wspierających się ludzi, – przecież tęskno mi czegoś było to ze zielonym, pełnym świeżego tchnienia lasem, to znów za wesołą, niedawno porzuconą cukrownią. Ale szanowny mistrz mój, pan Pierog, człek zacnego serca, chcąc ~~mnie~~ weselsze myśli we mnie wzbudzić, darzyć mię począł pierogami i innemi smakołykami, co było najlepszą satysfakcją dla mego pustego woreczka, pospolicie żołądkiem zwanego.

Coś w półtora miesiąca od chwili mego wstąpienia do huty otrzymał ojciec z poczty list od brata swego Walentego z Wielowsi, w którym donosił nam o mają=cej niebawem nastąpić budowie drogi żelaznej, pod którą także i matki mej grunt w Sobowie wywłasz=czony został, pieniądze zaś z tego tytułu w takiej a takiej kwocie złożono u wójta, ~~które~~ a chcąc (pieniądze te) podjąć, musiałaby matka osobiście po nie się zgłosić. List był krótki, a kończył się ~~głęboko w mej pamięci zapi=sanemi~~ słowami: „Cieszę ~~się~~, drogi braciszku, że może już niedługo się zobaczymy".

Nie było wahania. Znużeni już rodzice dozna=nemi tu zawodami, a zarazem wsparci nadzieją zarobku w rodzinnych stronach, uradzili wracać na stałe do Małopolski, co też postanowionem zostało.

+ + +

Krótko stosunkowo trwał mój pobyt na Chełm=szczyźnie i nie zaznałem tam uciech życia, a przecież – mimo przeświadczenia, że wkrótce ujrzeć miałem strony rodzinne, za któremi tęskniłem – smutek jakiś niewytłomaczony, niby pająk swą przędzą omotał mi duszę na myśl opuszczenia tej ziemi – może na zawsze. Bo lud ziemi chełmskiej, mimo kamiennej na pozór twarzy, ma w sobie coś z tej

magnetycznej siły, która przy pierwszem się z nim zetknięciu każdego przyciąga do siebie. Bo ziemia ta chełmska – to matka bojowników, walczących nieugięcie w obronie dóbr swych nadprzyrodzonych.

I jak z krwi pierwszych Chrystusa wyznawców, wytoczonej na arenach rzymskich cyrków, miał kiedyś wystrzelić i nad światem całym zajaśnieć przecudny kwiat, zwący się chrześcijaństwem, tak z krwi męczeństwa i z łez ucisku ludu chełmskiej ziemi, któremi ona hojnie nasiąkła, wytrysnąć miało źródło siły, mocy i wytrwałości dla całego narodu.

I jak dawni chrześcijanie tajemnemi wejściami zdążali do podziemnych Rzymu katakumb, by w nich wspólnie sławić Chrystusa, tak chełmskiej ziemi męczennicy, skoro zostały im pozamykane i pobuzone świątynie ich, ongiś przez pobożnych ojców na wolnej ziemi wzniesione, a u progów siedzib ojczystych stanęła warta tyrana, której przykazaniem było imać i na stracenie prowadzić każdego, ktoby się ośmielił głośno wypowiedzieć wzbierające w piersiach uczucia – wykradali się podczas ciemnych, ~~nieraz~~ burzliwych nocy i najnieprzystępniejszemi manowcami zdążali do odległych głębin leśnych, by tam razem głośno śpiewać hymn wiary do swego Boga.

Ale męczennicy za wiarę epoki Piotrowej byli to chrześcijanie pierwsi, poza którymi ludzkość cała była bałwochwalczą. I mordując ich z instyktem drapieżnej bestji tyran nie wierzył w Boskość Tego, dla którego oni umierali, tak jak nie wierzył w bałwanów, którym kadzidła palił.

Prześladowany natomiast lud ziemi chełmskiej żył w erze rozkwitu chrześcijaństwa, a prześladowca jego, mieniący się być również chrześcijaninem, mordował lud ten w imię zasad wyznawanego przez siebie chrystjanizmu.

I cierpiał lud ziemi chełmskiej nietylko dla Chrystusa. Cierpiał on także za miłość ku Polsce, ziemi ojców swych. A otaczające nas wokół narody i państwa chrześcijańskie nie widziały wówczas mąk, nie słyszały jęków chełmskich męczenników, krew z krwi, kość z kości naszych. I kiedy pletnie okrutnych oprawców szarpały aż do białych kości zsiniałe, skrwawione ciało unitów, by tem przełamać ich opór, katowani powtarzali twardo:

Wytrwamy! Wytrwamy!

I wytrwali, w ekstazie umierając.
Ale krew ich nie poszła na marne.
Pokłon tobie, ludu cierpiący a zwycięzki.
Pokłon tobie, Ziemio Chełmska, matko męczenników, święta relikwjo wierzących.
Bądź pozdrowiona!

V

~~Powrót~~ Wyjazd do stron rodzinnych. – Przyjęcie. – Przywitanie z babką. – Zmiany. – ~~Spotkanie z Madejem.~~ – Do nauki rzemiosła. – Śmierć brata i babki. – Przykre życie w terminie. – Skuteczny sposób przeciw ~~[illegible]~~ kusicielom. – Książka. – Na dworskim łanie. – W lesie na patykach. –

Był zdaje się początek maja, kiedy pewnego pogodnego ranka ruszyliśmy w drogę, serdecznie przez znajomych żegnani. Przez całą drogę sprzyjała nam piękna pogoda i ciepło. Okolice, przez które przejeżdżaliśmy, interesowały mnie swem położeniem i malowniczością. Opisu jednakowoż tychże okolic czy to z geograficznej, czy też z historycznej strony, choćby w przybliżeniu podać tu nie mogę; nie znałem ich bowiem. A chociaż ojcu strony owe obcemi nie były i jadąc objaśniał matce i braciom niektóre miejscowości, ~~do k~~ z któremi wiązały się jakieś, szczególnie historyczne zdarzenia, ja z opowiadań tych korzystać nie mogłem. Tylko kurhany a mogiły bojowników poległych w ojczystych swobód obronie, wzrok mi wskazywał.

W jednej miejscowości zajęły moją uwagę większych rozmiarów mogiły, o wyglądzie potarganych grobli. I kiedy wszyscy, na wozie siedzący, zajęci byli rozmową, ja zapatrzony byłem w owe „groble", dopóki z oczu mi nie znikły. Słusznie jeden z poetów nazwał ziemię naszą „ziemią mogił".

Dziś jeszcze, kiedy w zadumaniu myślą wybiegnę na ziemi polskiej obszary, mnogiemi mogiłami usiane, przywodzą się na pamięć słowa ~~tr~~ piewcy „Skarg Jeremiego":

„Och, cała ziemia ta nasza cmentarna
Wygląda, Panie, jak czara ofiarna,
W którą poganie zlewali krew wrogów
Dla dawnych bogów".

Zmieniając parokrotnie w drodze furmana z końmi i wozem, około południa trzeciego dnia stanęliśmy wreszcie na rosyjskiej komorze, skąd po uprzedniem

poddaniu się rewizji austrjackiej straży pogranicznej w Chwałowicach, poprzenosiliśmy sprzęty poza słupy kordonu i za jakąś godzinę świeżo wynajętemi końmi ruszyliśmy dalej. Przed zmrokiem byliśmy już blizko Wielowsi. Ponieważ do miejsca przeznaczenia tj. do Sobowa był jeszcze kawał drogi, a furman do powrotu niecierpliwił się, postanowił ojciec zajechać do swego brata Walentego na Kępę, skąd po przenocowaniu sprowadzilibyśmy się do Sobowa.

Radowała się mi dusza, że już za parę chwil stanę w zagrodzie dziadów moich, z którą wiązały mnie wspomnienia najpiękniejszych lat chłopięcych, wpiej spędzonych. [~~Stryj, tam dobry i kochający, jakże się ucieszy tą miłą dla niego niespodzianką i jak brata swego a mego ojca, którego zobaczyć tak bardzo pragnął, o czego wyraz w listach swych dawał, ściskał będzie! Ubolewałem tylko, że tych serdecznych scen powitania świadkiem nie będę, w drodze bowiem popadłem niespodzianie chorobie oczu, tak zwanej „kurzej ślepoty".~~]

Dokuczało mi tylko to, że w drodze popadłem niespodzianie chorobie oczu, tak zwanej „kurzej ślepoty".

Zajechawszy przed podwórze zagrody stryja, wóz się zatrzymał; ~~pierwszy~~ zeskoczyłem z wozu, a dotknąwszy pierwszy raz po kilku latach stopami tej miłowanej ziemi, tak byłem wzruszony, że chciałem przypaść twarzą a całować ten święty „szary proch", alem się wstydził, by nie być wyśmianym. Przystanąłem więc wsparłszy się o wierzbę i dziwno mi było, że nikt nie zbliża się do mnie. Daremnie wytężałem wzrok; prócz podchwyconych na moment mijaczących na jasnem tle ~~nieba~~ wieczornego nieba szarych czubów wierzb, nic więcej dojrzeć nie mogłem. Zauważyłem natomiast nawracającą nazad furę, i zdziwiło mnie, że tak prędko rzeczy z wozu poskładano, ale wytłómaczyłem to sobie tem, że furmanowi bardzo się z powrotem spieszyło.

Lecz dlaczegóż nikt do mnie nie przystępuje? Wołam więc na Józia najpierw zcicha, potem głośniej, wreszcie już głośno wywołuję z kolei to braci, to matkę – i znowu nic. Już mi się mocno na płacz zbierało, kiedy jakiś mężczyzna przystąpił do mnie, a ująwszy za ramię, popychał mię zlekka w stronę oddalającego się wozu. W postaci tej, nad

twarzą moją pochyloną; po wrostwie spracowanych rąk i grubym ubiorze, po którym dla wrzenania rzeczy przemówiłem, z całą pewnością domyśliłem się stryja. Odgadłszy nareszcie moją biedę, (tj. „kurzą ślepotę") wprowadził mnie stryj do izby i dawszy posiłek, kazał mi się przenocować. Jakkolwiek tajemniczość zajścia, jakie przed chwilą miało miejsce, bardzo mnie niepokoiła, przecież położywszy się na rozesłanym snopie słomy, długą podróżą znużony, zaraz twardo zasnąłem.

Obudziłem się może w pół godziny po wschodzie słońca i uporządkowawszy się jako tako, wyszedłem na podwórze, pragnąc przedewszystkiem nasycić oczy widokiem kąpiących się w blasku porannego słońca murów umiłowanego Sandomierza. Lecz ledwie postawiłem kilka kroków, ujrzałem ku wielkiej mej radości zbliżającego się od strony wsi Józia, dającego znaki mi z daleka znaki, bym się zbliżył, a gdyśmy się zrównali, kazał iść z sobą do wsi.

Po drodze opowiedział mi, Józi zajście wczorajszego wieczora. Otóż stryj, posłyszawszy turkot, wybiegł na podwórze, a poznawszy, jacy to goście na nocleg doń przyjeżdżają, już na samym wstępie przywitał nas słowami: „Nie mogliście jechać do Sobowa" i zwracając się do mojej matki, dodał: „tam macie siostrę i pieniądze"; jednocześnie zaś stryjenka, stojąc na progu sieni, oświadczyła zaznaczyła głośno a dobitnie, że „nie potrzebuje żadnych komorników"... Wobec takiego przyjęcia kazał ojciec zawracać. „Tem wszystkiem — dokończył Józi — tak byliśmy wszyscy przybici dotknięci, żeśmy o tobie zapomnieli".

że u stryja miejsca na nocleg nie było a poniważ zmrok szybko zapadał, naznaczono pospiesznie, nie zauważywszy, że zostałem.

Zajechali więc do wsi na obejście starego przyjaciela ojca, Pawła Galusa, żona którego była rodzoną siostrą znanego nam już Jędrzeja Dz. Kaci Galusowie przyjęli nas bardzo serdecznie i gościnnie, prosząc, byśmy przez parę dni u nich spoczęli, a propozycja ta z wdzięcznością przyjętą została, mogli bowiem rodzice swobodniej za mieszkaniem się rozglądnąć.

Na drugi dzień poszliśmy do Sobowa, pragnąc ujrzeć babkę. Zaszedłszy przed znaną nam dobrze zagrodę, za przykładem matki posiadaliśmy na porzuconem opodal drewnie; matka bowiem będąc w pewnego rodzaju nieporozumieniu familijnem z siostrą swą Anną, przy której babka mieszkała, nie kwapiła się stanąć niespodzianie w rodzinnego domu progach.

Lecz oto za niedługą chwilę dało się słyszeć z podwórza dochodzące szlochanie a wołanie. Powstaliśmy zaraz i wszedłszy za wrota, ujrzeliśmy leżącą przy porzuconych obok siebie kulach babkę, która na nasz widok wyciągnęła ku nam drżące, wyschłe ręce i wśród szlochu powtarzała: „O dzieci moje, dzieci!" Uwiadomiona niespodzianie przez jedną z sąsiadek o naszem przybyciu, ujęła kule, na których opierając się, wyszła z izby, pragnąc jak najprędzej uściskać nas, ale wzruszenie siły jej odjęło i upadła. Pochyliliśmy się nad biedną staruszką i podniósłszy usadowiliśmy ją między sobą na przyzbie. Tu przy serdecznym szlochu a powtarzaniu: „O dzieci moje, dzieci!" wszystkich nas po kolei uściskała – mnie najczulej i najdłużej.

W godzinę później, po widzeniu i przywitaniu się jeszcze z ciotką, mężem jej i dziećmi, poszedłem z Józiem w stronę naszego pola. Idąc i rozglądając się, spostrzegliśmy wiele, zaszłych tu podczas naszej kilkuletniej nieobecności, ~~pomyślnych~~ korzystnych zmian. Na rzece, opodal zagród wsi płynącej, w miejsce dawnego brodu rzucony był teraz most, sama zaś rzeczka, która dawniej wylewała tu szeroko i w czasie większych deszczów i roztopów wiosennych wlewała swe wody do stojących opodal stodół i przylegających ogrodów, teraz uregulowana i w wąskie koryto ujęta, podobna do małego strumyka cicho płynęła. Na oddzielonem rzeczką od wsi pastwisku w miejscu wygodnem, suchem i słonecznem, rozsiadł się nowy drewniany, obszerny budynek szkolny.

Z pola naszego pozostał zaledwie maluttki skrawek. Wrzała tu praca i ruch. Budowano na rzece most pod kolej. Nad samym brzegu rzeki zauważyłem jakiegoś obcego, kusego jegomościa, a z jego niespokojnych, nerwowych ruchów domyśliłem się kłótni ze stojącym naprzeciw niego (poważnym) gospodarzem, w którym ze zdumieniem ~~zdziwieniem~~ poznałem naszego starego wójta, Madeja. Ów jegomość – inżynier, jak potem się dowiedziałem – rozkazał był samowolnie, bez pytania, składać materjały budowlane na polu Madeja, – ten zaś strzegąc swego dobra, energicznie przeciw tej samowoli protestował – i stąd kłótnia. Inżynier, podrażniony oporem, począł wrzeszczeć nad Madejem trzcinką

wywijać, przyczem miał krzyczeć: „Głupia chłopa!... Ja tobie bić... Głupia chłopa"... Wreszcie dając folgę rozdrażnieniu, trzciną Madeja raz i drugi w plecy uderzył. Krew falą uderzyła mi do głowy i postąpiłem naprzód z myślą, którą w czyn gdybym był zamienił, natenczas według słów Mickiewicza, ~~w ustach Dyomeda włożonych~~, „zanurzy w bagnie wpadł się ten plucha", ~~tera~~ ale bliżej stojący chłopi już przyskoczyli, a w oczach i całej ich postawie mógł Niemiec wyczytać tyle ku sobie nienawiści, że, wysapawszy się jeszcze i zakląwszy po swojemu: „Głupia chłopa! Głupia chłopa!" oddalił się.

W parę dni mieszkaliśmy już w Sobowie. Tu przez parę tygodni pracowałem przy sypaniu ziemi pod drogę żelazną, do Nadbrzezia biec mającą, zarabiając po czterdzieści centów dziennie. Pewnego dnia postanowili rodzice oddać tak mnie jakoteż Jana do nauki rzemiosła w Tarnobrzegu, gdzie też w tym celu udaliśmy się.

Wybór rzemiosła, w którem całe życie pracować przyjdzie, jest rzeczą niemniej ważną jak wybór stanu. To też rozważywszy z góry, co dla mnie najlepszem będzie, zapragnąłem uczyć się zegarmistrzostwa, do którego szczególny pociąg ~~miałem~~ czułem. Lecz ojciec nawet słyszeć o czemś podobnem nie chciał. Wiedziałem, że ~~przeciw~~ woli ojca przeciwstawić się nie potrafię, oświadczyłem się więc za krawiectwem, na co też rodzice przystali.

Udaliśmy się zatem do krawca, ~~pana~~ Jana Kolasińskiego, cieszącego się ogólnym szacunkiem, późniejszego burmistrza Tarnobrzega, – ten jednakowoż ~~po krótkiej~~ ~~rozmowie miał~~ oświadczył, iż z powodu mej ułomności nie dałby ze mną rady. A ponieważ w Tarnobrzegu drugiego chrześcijańskiego zdolnego majstra krawieckiego nie było, zadecydowali rodzice oddać mnie do szewca twierdząc, że rzemiosło to jest najpewniejsze. Szwagier ~~rodziców~~ matki, Józef Ordyk z Zeikowa, który jako znający miejscowe stosunki nam towarzyszył i majstrów wskazywał, oznajmił, że najzdolniejszym majstrem szewskim w Tarnobrzegu jest pewien starozakonny, zatrudniający w swym

warsztacie czeladź przeważnie chrześcijańską. Do niego zatem udaliśmy się, a wkrótce potem, bez względu na zgodę z mej strony, zawarta została w odnośnym urzędzie cechowym formalna umowa, podług której do trzech lat miałem się w rzemiośle szewskiem wydoskonalić. Gdyby zaś po upływie roku, od dnia umowy począwszy, rodzice nie złożyli reszty przynależnej majstrowi kwoty, pozostać miałem u niego rok czasu dłużej.

Tak więc los mój został przypieczętowany. Brat Jan później oddany został do nauki rymarstwa przy koledze swym z ławy szkolnej, Tomaszu Motyce w Sobowie. Odtąd rozpoczęły się dla mnie dni najprzykrzejsze w życiu.

Jakkolwiek pociągu do szewstwa nie miałem, oddałem się przecież nauce ~~a~~ i pracy z poświęceniem, a majster był ze mnie bardzo zadowolony, co jednakowoż nie przeszkadzało mu sił moich najniemiłosierniej wyzyskiwać.

W ośm czy miesięcy po mojem wstąpieniu do terminu zjawił się u rodziców, w Tarnobrzegu już natedy mieszkających, Motyka z hiobową wieścią, że Jaś niebezpiecznie zachorował. Matka pospieszyła do Sobowa natychmiast, ja zaś na drugi dopiero dzień, brnąc całą drogę w głębokim śniegu. Chory ze względu na niebezpieczeństwo rozszerzenia zarazy został izolowany i umieszczony w osobnym lokalu kancelarji gminnej, a stan, w jakim brata zastałem, był wprost przerażający. Była to czarna ospa. Całe ciało ~~ale to formalnie całe~~ wyglądało niby pokryte czarną chropawą, połyskującą łuską; oczu ~~prawie~~ że znać nie było; szeroko otwarte usta ukazywały swą jamę, czarnej czeluści podobną; oddech ciężki. Przy chorym nachylona matka ocierała mu ~~umie-tołem~~ pot z czoła i twarzy. Zrozumiałem z rozdartem sercem, że godziny jego policzone. Ach, jakże pragnąłem, żeby mię w tej strasznej godzinie ujrzał przy sobie. Wymówiłem więc głośno jego imię: Jasiu, Jasiu! - lecz nie wiem, czy to wołanie słyszał; miał zaledwie na tyle siły, by lekko stopą poruszyć, - i nie otworzywszy oczu, w parę godzin, ~~skonał w 21-szym roku życia~~ 9 lutego 1888 r. w dwudziestym pierwszym roku życia, skonał. Z jego śmiercią stracili rodzice nadzieję podpory starości.

Ojca przy skonaniu Jasia nie było. Przyszedłszy

na drugi dzień, tłukł głową o ścianę, płacząc głośno, to znów nachylał się nad nieboszczykiem i całował jego zimną, sino-czarną twarz, — i dziwić się zaiste trzeba, że tem na siebie tej strasznej zarazy nie przeniósł, a w tragedji tej wiele było podobieństwa do rozpaczy owego nieszczęśliwego Araba, ojca zadżumionych.

Śmierć Jasia była dla nas ciężkim ciosem, a smutek powiększało jeszcze i to, że rodzice nie mieli za co nawet trumny sprawić. Ale smutna konieczność w wypadkach takich w środkach nie przebiera; to też ojciec kazał mi pójść do stryja na Kępę i prosić, by coś dali na pogrzeb Jasia. Posłuszny woli ojca, natychmiast do Wielowsi poszedłem. Przestąpiwszy progi domu stryjostwa, z płaczem opowiedziałem im smutną nowinę, prosząc o jakiś datek na pogrzeb. ~~I wówczas to, kiedy ból dziki szarpał mi serce i że gardło dławił, a myśl krążyła tylko naokoło tapczana, na którym spoczywały zastygłe, sczerniałe zwłoki miłowanego brata, — wówczas to spotkało mię ze strony kochanego stryja podejrzenie kłamstwa.~~ Po chwili jednak wręczył mi ~~stryj~~ czterdzieści centów, które z podziękowaniem przyjąwszy, udałem się do pobliskiego domu, w którym mieszkali stryjostwo ojca, ludzie ~~sa-kolnicy~~ biedni, ~~przecież szlachetni~~, ale życzliwi i miłosierni. Ci wręczyli mi 60 centów — ostatni prawie grosz, jaki przy sobie mieli. Po drodze wstąpiłem jeszcze do jednej z ciotek ojca, gdzie znów dostałem 20 centów. Posiadając już kwotę jednego reńskiego i dwudziestu centów pospieszyłem z powrotem do Sobowa. Na drugi dzień odbył się pogrzeb. — ~~Od~~ Od śmierci Jasia rodzice znów w Sobowie zamieszkali.

~~Hg~~

~~Stryj początkowo nie dowierzał memu opowiadaniu,~~

Stryj początkowo nie dowierzał memu opowiadaniu,

W pięć tygodni po śmierci Jasia, 15 marca 1888 r. przeniosła się do wieczności babka, Helena ~~Motyka~~ Motyczyna, ukończywszy 69 lat życia.

~~XI~~

Życie moje w terminie płynęło jednostajnie i smutno. Obco mi tu było i nieswojo. Pragnąłem się bodaj w niedzielę wśród bliższych mi osób znaleźć i

duch a ożywić. [~~Pewnej soboty zdecydowałem się mimo wszystko pójść do stryja na Kępę. A chociaż było to w zimie, a droga wynosiła 11 kilometrów, przecież mię to nie zniechęciło.~~] Nad nudne ~~burzeniem~~ siedzenie w grobowej ciszy przenosiłem ruch, choćby na najtęższych mrozach, śnieżycy czy burzy. F

[~~Ostatnie promienie gasnącego słońca złotawą purpurą oblewały zachodnie niebo, kiedy znalazłem na osiedle stryja. Stryj, zajęty robotą na podwórzu, ujrzawszy mnie, z góry zapytał, poco przychodzę, a otrzymawszy odpowiedź, niezbyt grzecznie wskazał mi wrota. Nie zawróciłem wszakże, lecz prosto przed siebie poszedłem do domu stryjostwa ojca, Kazimierzów Kurosiów, gdzie też zostałem serdecznie przyjęty i ugoszczony. Odtąd, kiedy tylko zapragnąłem się wyrwać, szedłem prosto do nich i zawsze otwartem sercem byłem przyjmowany. Stryj Walenty później gdy mnie gdzie spotkał, zaprosił do siebie. Pragnąłem zapomnieć o wszystkiem, co przedtem było, więc zaproszenie przyjmowałem, jedynie wspomnieniem lepszych ubiegłych lat tam przyciągany.~~]

Przy szewskim warsztacie w początkach mej nauki zajęty był czeladnik-chrześcijanin, niejaki Jabłoński, z wiecznie obrzękłą twarzą, a odżywiający się tylko suchym chlebem i wódką, na którą wyrzucając cały zarobek, nie był tem samem w możności zdobyć się na pożywniejszy wikt. Jakkolwiek majster i synowie jego nigdy nad miarę trunku nie używali, który to przymiot ogół żydów dodatnio od chrześcijan wyróżnia, — przecież kto tylko przyszedł z zamówieniem na obuwie — przeważnie ze wsi — ~~zaraz~~ przyjętym zwyczajem zaraz po ubiciu targu, na żądanie majstra (posyłał) po wódkę ~~posyłał~~, którą (się) całe towarzystwo warsztatowe, począwszy od majstra a skończywszy na czeladniku, raczyło, a powtarzało się to niemal codzień.

Nie było zatem nic łatwiejszego jak zaprawić się pomału do pijaństwa, a któremu to nieszczęs~~ciu~~nemu niejeden z terminatorów-chrześcijan (nałogowi) podpadł. Ja przecież mimo głupich podkpiwań a czasem i docinań, na które musiałem niezaz czynnie reagować, trzymałem się twardo i podawanej mi do wypicia wódki nigdy przyjąć nie chciałem. Jednego razu, (gdy) po ubiciu targu z zamawiającym obuwie, wedle zwyczaju raczono się

F Zachodziłem wtedy najczęściej do Kielowsi, 11 kilometrów od Tarnobrzega, do domu stryjostwa ojca Kazimierzów Kurosiów, gdzie zawsze otwartem sercem byłem przyjmowany.

wódką, czeladnik (syn majstra ~~żyd~~), wyciągając ku mnie rękę z pełnym kieliszkiem, naglił do wypicia, a wreszcie groził począł serjo wylaniem mi ~~mi~~ wódki za kołnierz... Wtedy ja, niby to ulegając namowom, wziąłem z ręki jego podawany mi napój, i kiedy nic złego nie przeczuwający żydek z błogością na twarzy triumfował już w duchu odniesionem nad mym uporem zwycięstwem — zawartością kieliszka chlusnąłem w twarz natręta... Majster głośno się na ten mój postępek oburzał, goście się śmiali, a oblany tarł pięściami zalane gryzącym płynem oczy, wzywając przytem wszystkich jasnych piorunów, choler, szlagów i wszelakich chorób na „przeklętego akuma"... Odtąd z podobnego rodzaju namowami dano mi raz na zawsze spokój. Nie mieli widno ochoty doświadczać na sobie po kolei, jak to alkohol działa na otwarte ócz źrenice...

Nienawidząc wódki, lubiłem zato książki; to też zobaczywszy raz w pewnym domu książkę obrazkową p.t. „Z ojczystej zagrody" z życiorysami sławnych w polskim narodzie mężów, przez księdza Wł. Wójcickiego pisaną, zapytałem, czyby mi jej nie sprzedano? a otrzymawszy przytwierdzenie, zapłaciłem żądane 20 centów, stanowiące cały mój majątek. Była to pierwsza, za własny grosz nabyta książka, którą do dziś jako miłą pamiątkę przechowuję.

W pierwszym roku mego terminowania miałem oprócz niedziel i świąt rzym-kat. wolne także soboty, ~~wolne~~ o ile jakiejś pilnej roboty przy warsztacie nie było. W lecie więc już w piątkowe wieczory chodziłem do rodziców do Sobowa, by najmując się z innymi ~~do~~ roboty na dworskim łanie w Wielowsi, a zarobiony grosz oddawałem matce. Pewnego późnego sobotniego wieczora wracając do domu z Wielowsi, gdzie żąłem rzepak, w połowie drogi ustałem z osłabienia. Usiadłszy obok przydrożnego dworskiego łanu żyta, obrywałem kłosy i łuskając na dłoni miękkie ziarno, łagodziłem niem targający kiszkami ból, co zauważywszy jedna z przechodzących miłosiernych dusz, wetknęła mi w rękę okruch czarnego chleba, który zjadłszy, powlokłem się do domu. Takie najczęściej w domu rodziców moich bywały dostatki, że czuliśmy się zadowoleni, jeżeli w uroczyste święta doroczne, jak Bożego Narodzenia i Wielkiej nocy zwalał się na naszym stole placek z grubej ziarnowej jęczmiennej mąki.

Po spędzonej w domu niedzieli, wcześnie rankiem w poniedziałek szedłem znów do Tarnobrzega, a ze mną ~~niejednokrotnie~~ czasem wychodził brat Franek, któremu na zlecenie rodziców miałem pomóc w zbieraniu suchych patyków w odległym ~~od wsi~~ 3 km. lesie, przez który droga wiodła.

Na takiej to raz czynności zabrałem pierwszą znajomość ~~z ... ... pana na Dzikowie z przyległościami~~ z przyszłym dziedzicem Dzikowa hr. Zdzisławem ~~hr.~~ Tarnowskim. A było to tak: Nazbierawszy już naręcze patyków i związawszy je w przyniesioną przez Franka płachtę, kręciłem się jeszcze, upatrując patyczków dla uzupełnienia wiązki, — gdy wtem niespodzianie z pobliskich zarośli wyłoniły się trzy postacie. W pierwszej z nich rozeznałem ~~przyszłego dziedzica tegoż lasu, Zdzisława hr.~~ hr. Zdzisława Tarnowskiego, uzbrojonego w pistolety u pasa, kordelas i dubeltówkę na ramieniu, w drugiej komisarza Jerzego Barka, trzeciego już nie pomnę. Byli snać na polowaniu. W pierwszej chwili zgłupiałem; nadrabiając jednak miną i siląc się nadać twarzy pozór spokoju, układam ją do słodkiego uśmiechu i, kłaniając się z powagą hrabiemu, zaczynam perorę: „Proszę wielmożnego pana... ten tego... Proszę wielmożnego..." Tem osobliwem zaprezentowaniem się hrabia ~~sam pan Dzikowa~~ był widocznie mocno zaintrygowany, bo stojąc przede mną, nic nie mówił ~~ust nie otwierał~~ i dopiero gdy wątek tak świetnej wymowy się mi urwał, ~~spospolitował, a~~ przybrał groźną minę i wskazując palcem w stronę wsi, krótko ~~a dobitnie~~ oderwał się: „Marsz!"

~~Tymczasem Franek~~ W trakcie tego Franek zorjentowawszy się w sytuacji, podskoczył ku płachcie, momentalnie rozwiązał ją, a szarpnąwszy raz i drugi, z takim zachodem zbierane patyki rozrzucił jak garść puchu na wiatr — i uskoczywszy z płachtą za drzewo śledził z przyzwoitej odległości, jaki też będzie epilog tego niezwykłego spotkania. Skończyło się przecież na niczem.

Ale Franek, wziąwszy hrabiego za Rynalda Rynaldiniego, bardzo ~~tak~~ się przestraszył, i ~~że~~ odtąd wolał chodzić na zarobek na łan dworski, niż do lasu na patyki.

[margin: ustrojonego w myśliwski kapelusz z pióropuszem]

VI. ~~XII~~

Do Wzraw. — ~~Tymczasowa ziemia~~ W żydowskie ręce. — Profanacja i dewastacja. — ~~Przestroga przed żydami.~~ — Wyzwolenie z terminu. — Przestroga przed żydami. — Naiwność wiary w asymilację żydów. —

W ~~międzyczasie~~ owym czasie przeprowadzili się rodzice z Łobowa

do Wrzaw, a właściwie Dąbrowy wrzawskiej, które to sioło wraz z innemi kilkoma przysiółkami wchodzi w skład ~~jednolitej~~ gminy administracyjnej Wrzawy. Jest to gmina dość duża, na niziennej równinie między widłami rzek Wisły i Sanu położona. Na zmianę miejsca wpłynęła ~~wpłynęła~~ głównie ta okoliczność, że ojciec liczył na stały zarobek przy budowach tam rzecznych, do których to robót aż z Łobowa od jakiegoś czasu tu przychodził.

Wieś tę polubiłem tak dla jej położenia między głównemi rzekami, jakoteż dla bogatego zadrzewienia z mnogością sadów, a przedewszystkiem dla związanych z temi stronami historycznych wydarzeń i poczciwości mieszkańców.

Dwór w Dąbrowie wrzawskiej był wówczas rezydencją dziedzica tamtejszych włości, Tadeusza Horocha, który dobra wrzawskie otrzymał w spadku po stryju Kalikście Horochu, bezpotomnie zmarłym.

Pewnego zimowego dnia przyszedłszy do rodziców dowiedziałem się, że dziedzic miejscowy dobra swe sprzedał — żydom. Serce mi się ścisnęło. Jakto — myślałem — dziś, kiedy poczyna się budzić poczucie narodowe w najniższych nawet warstwach spo~~łecznych~~łeczeństwa, mieliżby ci, którzy chcą uchodzić za ~~[illegible]~~ przewodników narodu, dopuszczać się ~~w dalszym ciągu~~ tak haniebnej zbrodni na własnej ojczyźnie?... Daremny jednak żal. Haniebna ta frymarka stała się faktem dokonanym*)

Na dzień 29 czerwca, zdaje się, 1890 r., w którym to dniu przypada uroczystość ŚŚ. apostołów Piotra i Pawła, dotychczasowy dziedzic zapowiedział wydanie dla miejscowej ludności uczty pożegnalnej, jaka odbyć się miała popołudniu we dworze. Z drugimi pociągnąłem tam i ja, prostą ciekawością wiedziony.

Dzień był cichy, słoneczny; czystego horyzontu nie przyćmiewała najmniejsza chmurka. Na dziedzińcu dworskim zgromadzona ludność czeka już dobrą godzinę — a zapowiedzianej uczty nie widać, ani też dziedzic nie pokazuje się. Nakoniec na twarzach zgromadzonych objawiać się poczyna niepokój; na niebie ukazują się chmury, a wkrótce rozlegają się przeciągłe grzmoty. Zerwał się wicher, a z czarnych, krwawemi

*) Sprzedawczyk ten później ~~dokonał~~ popełnił samobójstwo.

błyskawicami przerzynanych chmur lunęła ulewa. ~~Ryk~~ Wycie wichru, grzmoty i huk gromów, niemilknący trzask łamanych drzew, szum gwałtownie wezbranej, opodal dworka płynącej Wisły, której brudne, spienione fale zdawało się że dosięgną stojącego na wzniesieniu dworku i spłukną go, – wszystko to razem czyniło taką potężną grozę, że wszyscy zebrani, pomieszczani po różnych zabudowaniach dworskich, pochyliwszy głowy bili się w piersi, ~~głośno wymawiając~~ modląc się: „Boże bądź miłościw". Tak więc sama nawet przyroda głośnym bólem zapłakała na tę ohydną frymarkę*).

W kilka ~~lat~~ dni później po wyprowadzeniu się raz na zawsze Horocha z Wrzaw, przechodziłem frontowem podwórzem opodal samych ścian dworku. Podwórze to zamienione już było w jeden wielki śmietnik, na którym poniewierały się całe stosy rozmaitych potarganych szpargałów. Schyliwszy się podniosłem parę luźnie rozrzuconych pożółkłych świstków. Były to listy. Na jednym z nich, zaopatrzonym nagłówkiem „Kochany Kalciu", wyczytałem między wierszami te wyrazy: „... o gdyby każda matka dochowała się takiego syna, jakim mnie Bóg w dobroci ~~nagrodził~~ niepojęty nagrodził..." Jak zatem z tytułu i treści łatwo odgadnąć, był to list matki Kaliksta Horocha, do niego pisany, a które to listy on jak relikwje przechowywał, snać nie przeczuwając, jakiego w końcu doczekają losu...

Nie znam bliżej dziejów życia Kaliksta Horocha, czem jednak był – wymowniej od wszelkich pisanych życiorysów mówi o nim obelisk, tuż opodal ogrodu dworskiego na Kurhanie przezeń postawiony, na którym przechodzień odczyta takie napisy:

Pamięci walecznych rodaków,
obrońców swobód ojczystych,
poległych w bitwie, na tych polach
stoczonej dnia 13 czerwca 1809.

za czasów Księstwa Warszawskiego
pod dowództwem Księcia Józefa Poniatowskiego,
naczelnego wodza wojsk polskich.
Pomnik ten na wieczną pamiątkę
Obywatel, ~~obrońcom, żołnierz żołnierzom~~
~~Kalikst Horoch postawił 1879~~ r.

*) Wierszowany opis tego zdarzenia pt. „Bal pożegnalny we dworze" zawiera moja książeczka „Z pod chłopskiej strzechy".

Verte

Pamięci
walecznych rodaków
obrońców swobód ojczystych
poległych w bitwie na tych polach
stoczonej dnia 13 czerwca 1809
za czasów Księstwa Warszawskiego
pod dowództwem Księcia Józefa
Poniatowskiego
naczelnego wodza wojsk polskich

Pomnik ten
na wieczną pamiątkę
obywatel - obrońcom
żołnierz - żołnierzom
Kalikst Horoch
postawił 1879 r.

Jak długo w sercach naszych
Krew czystych przodków płynie,
Tak długo tych walecznych
Pamięć nie zaginie.

Z chwilą zmiany właściciela zmieniła się także fizjognomia tak dworu samego jak i przynależnych doń posiadłości. Dwór opustoszał, oddany pastwie największego zaniedbania i nieporządków; nabywca bowiem rezydował w poprzednio nabytym dworze w Skowierzynie, ustanowieni zaś oficjaliści - sami żydzi - w dworze wrzawskim zajęli na mieszkanie oficyny, najwygodniejsze zaś pokoje, z przyczyny jakiegoś przesądu, pozostały niezamieszkane, i tylko wiatr przez wybite szyby i pootwierane na oścież drzwi hulał po nich.

Przepiękne, pełne uroku stare zadrzewienie prawego brzegu Wisły i obu brzegów Sanu, którego szczególnie lewy brzeg odznaczał się niezwykłą pięknością, zostało wkrótce doszczętnie zdewastowane. ~~Wiekowe~~ Olbrzymie topole nadwiślańskie, jabrzędzie, olchy, wierzby i inne drzewa padły pod ciosami siekier.

To też gdy w parę lat po wyprowadzeniu się z tej miejscowości zajrzałem do Wrzaw, sam dwór jakoteż brzegi obu wspomnianych rzek zastałem tak zmienione, jakgdyby jakiś niszczycielski huragan tędy był się przewalił.

Po czterech latach nauki szewstwa zostałem nareszcie

✱ zabiegliwości i przestrzegania przepisów swego zakonu

~~przestrzeg~~

W terminie tym nabyłem sporo ~~wiele~~ doświadczenia i poznałem wiele dodatnich strony u Żydów pod względem współżycia, omówionej ✱ ~~stro~~ lecz bezporównania więcej ujemnych stron psychologji duszy żydowskiej, ~~szczególnie~~ w stosunku do chrześcijan; nacierpiałem, naponiewierałem się dużo, — i gdyby to było odemnie zależało, byłbym ~~już~~ po paru dniach uciekł stamtąd. Ale poza prawomocnym kontraktem trzymała mię tam zawsze święta dla mnie wola rodziców. I obowiązek sumienia etc.

wyzwolony. Majster chciał zatrzymać mię koniecznie nadal u siebie jako czeladnika, przyrzekając dać mi wszelkie wygody i dobrą płacę, wszelkie jednak jego propozycje z miejsca odrzuciłem.

Z ~~prywatnego mego życia w czasie tej praktyki nic ważnego nie mam do zanotowania prócz tego, co już na swojem miejscu opowiedziałem. Z drugiej zaś strony~~ W terminie tym nabyłem wiele doświadczenia i obowiązek sumienia nakazuje mi ostrzec ogół ludności chrześcijańskiej, ażeby — jeżeli już koniecznie do żyda iść musi — w załatwianiu z żydami interesów była ostrożną, a jako jaskrawy przykład szkodzenia na mieniu ludności ~~katoli~~ chrześcijańskiej przez żydów, choćby nawet mających opinję „rzetelnych" — a taką opinją cieszył się mój majster, — niech posłuży fakt, którego niejednokrotnie byłem niespodzianym świadkiem.

Zdarzało się bardzo często, że ktoś z chrześcijan kupił w składzie nowe, przez spółkę chrześcijańskich szewców zrobione buty, ~~z któremi~~ i z temi butami udawał się do żyda, u którego właśnie terminowałem, celem uzupełnienia jakichś drobnych braków, jak ujęcia lub dodania obcasów, przybicia podkówek, wyprawienia cholew w regularne karby, wytarcia wewnątrz buta kołków itp., — wtedy wymawiali się zazwyczaj żydzi wobec interesanta chwilowym brakiem czasu, polecając mu, by buty zostawił i za taki a taki czas, ~~wstąpił gdy już będą gotowe~~ wstąpił po nie.

Skoro interesowany oddalił się, wyprawiano i mnie z izby za jakimś drobnym sprawunkiem — i wtedy dopiero, pozbywszy się niewygodnego świadka, zabierali się rzetelni żydkowie do wykonania ulubionego procederu, na tem polegającego, że w przyszwę buta w tem miejscu, gdzie z podeszwą się schodzi — a więc w miejsce niewidoczne — zapuszczano ostrze końca noża i nacinano. Rzecz naturalna, że tak operowana przyszwa rychło pęknąć musiała, a naiwny, w tak zbrodniczy sposób poszkodowany człowiek tracił zaufanie do majstrów chrześcijańskich, a szedł do żydów. To znów bywało, że interesant przyniósł kupioną przez siebie skórę podeszwianą i buty celem podzelowania, — a skoro się oddalił, żydkowie

skór tę, choćby najlżejszego klepania jej potrzeba nie zachodziła, świadomie a niemiłosiernie rozklepywali na ~~kap~~ kamieniu, waląc młotkiem, jak kowal w rozżarzone żelazo na kowadle, skutkiem czego zelówka prędko się zdarła.

Zresztą stara to prawda, że ogół żydów cechuje wrodzone, czy, jak chcą inni, rasowe — oględnie się wyrażając — uprzedzenie do chrześcijan, a przedewszystkiem do Polaków. I śmieszną jest naiwnością rozprawiać o „asymilacji" żydów; ci zaś publicyści, którzy do tego ulubionego tematu ciągle wracają, popełniają najkapitalniejsze absurdum.

Czyż tylowiekowe z nami na naszej ziemi żydów pożycie niczego nas nie nauczyło? Zabór większych ~~posiadłości~~ własności ziemskich, zlicytowanie tysięcy chłopskich posiadłości, rozpojenie i demoralizacja ludu i mieszczaństwa, a miejscami nawet zupełne wytępienie tego ostatniego; opanowanie handlu, i przemysłu i wszelkich ryzykownych przedsiębiorstw w naszym kraju; lupunary i szerząca się stąd moralna i fizyczna deprawacja; handel „żywym towarem" itd. itd. — czy to nie? [Kazimierz „Wielki" gospodarny, ale nieprzewidujący król, otwierając P ~~dla żydów~~ gościnne bramy swego państwa, nigdy nie przypuszczał, jak niewdzięczne to plemię ~~≠~~ kiedyś za dany ~~mu~~ sobie przytułek Polsce się odpłaci; bo gdyby przewidywał, granice królestwa swego byłby niezawodnie obstawił gęstą strażą tak, by się ani jeden żyd na ziemię polską nie wśliznął.]

P ~~dla~~ prześladowanych i mordowanych w innych krajach żydów

~~[illegible]~~?

A jak osądzić ustawiczne oczernianie nas przez żydów w prasie zagranicznej, urabianie tam najgorszej opinji o nas, szkodzenie nam w sprawach międzynarodowych? Zaiste wielką prawdę powiedział poeta:

Nasi „urodzeni" politycy o wszystkiem wiedzą, wszystko słyszą, na jedno tylko, co nam ze strony żydów grozi, pozostali i ślepi i głusi. Widzą oni ucisk murzynów w zamorskich niemieckich kolonjach, ~~sły~~ słyszą ich krzyk i szeroko o tem się rozpisują, — nie widzą natomiast, jak tuż pod samym ich nosem żydowscy działacze organizują swych współplemieńców ~~wyznawców~~ do walki z nienawistnymi — Polakami; nie słyszą rzucanych na nas oszczerstw i potwarzy, wygłaszanych na publicznych w naszym kraju żydowskich zgromadzeniach przez rozmaitych litwackich Sokołowów; nie słyszą tej burzy oklasków, jakiemi tłumy żydostwa wygradzają zionących jadem nienawiści do polskiego narodu

swych trybunów. Nie słyszę tych licznych, niemilknących prawie głosów żydowskich w zagranicznej prasie o „pogromach”, „zabijaniu”, „paleniu żywcem na stosach” żydów przez — Polaków! Nie widzę i nie słyszę odezw do żydów całego świata, ~~do~~ wzywających do spowodowania się wyrzucenia nas, Polaków, z odwiecznej naszej ziemi.. ~~Zaiste wielką prawdę powiedział poeta~~:

„Krzyczymy, że nam Polskę wzięli Rusy, Prusy
I wstręt do nich czujemy za to z całej duszy,
A dziś, gdy nam Ojczyznę rozbierają żydzi,
To mało kto z Polaków czuje to i widzi”.

Na szczęście w ostatnich czasach społeczeństwo nasze otwiera oczy na grożące nam z tej strony niebezpieczeństwo, ~~a pierwsza ocknęła się stara nasza stolica, Warszawa~~. A co najgodniejsze zastanowienia to to, że tacy nawet ~~głośni~~ sławni publicyści, jak Aleksander Świętochowski i Andrzej Niemojewski, obaj do niedawna prawie że przyjaciele żydów, przejrzawszy duszę żydowską, ~~w ostatnich czasach~~ walkę bezwzględną semityzmu molochowi wydali. Toteż teraz żydostwo zieje w nich jadem ~~nienawiści~~ potwarzy, że aż dziw, jak coś podobnego obcy przybysz waży się w naszym domu wyrabiać.

VII. ~~XIII.~~

Przy własnym warsztacie. — U Bęca. — Smutna strona wsi. — „Na drugą służbę”. — Do Wielowsi. — Ciężkie położenie. — Książki od prof. St. Tarnowskiego. — Do Krakowa. — „~~Syn obywatela Krakowa~~”. — W domu prezesa Akademji Umiejętności. —

Wróciwszy do ~~domu~~ rodziców po skończonej praktyce, nie odrazu mogłem się oddać samodzielnej pracy, gdyż na założenie własnego, choćby skromnego warsztatu potrzebną była jakaś gotówka, której nie posiadałem. Na propozycję zatem miejscowego szewca przyjąłem ~~przyjąłem~~ u niego zajęcie jako czeladnik w nadziei, że za parę miesięcy zaoszczędzę z zarobku na własny warsztat. Wysokość ugodzonego wynagrodzenia wynosiła 2 złr. tygodniowo i wikt. (Za nowe chłopskie juchtowe, trwałe buty płacono wówczas 6—8 reńskich).

Rychło atoli przekonałem się, że nawet za dzie=

siątek lat pracy w takich warunkach niczego się nie dorobię, albowiem regularnie co ~~tydzień~~ tygodnia zarobek mój rodzice ~~mi~~ na konieczne potrzeby wydawali. Po paru tedy miesiącach, w przeświadczeniu, że w domu, choćby przyszło wykonywać najprostszą robotę, więcej zarobię, rozwiązałem umowę z moim ~~szanownym~~ pryncypałem, a posiadając już parę par kopyt i najniezbędniejsze do prowadzenia roboty przedmioty, rozpocząłem karjerę „samodzielnego majstra". Ale i tu powtórzyła się ta sama nieszczęsna historja z uzyskanym zarobkiem. Nie mogąc ~~się~~ zaopatrzyć się w konieczny do intensywnego prowadzenia warsztatu materjał, z dnia na dzień nędznie wegetowałem. ~~Że się bez niczego nie da się choćby najprymitywniejsze naprawki poprowadzić w wykonać, tymczasem żyć jakoś trzeba, zatem~~ Dość często zdarzało się, że posiadając zaledwie 40–50 centów całego kapitału, z tą gotówką wybierałem się do oddalonego 21 kilometrów Tarnobrzega – po materjał. Innym znów razem trafiło się, że gdy mi w mieście zabrakło parę reńskich dopłaty za rzemień, zostawiłem żydowi w zastawie jedyny z grzbietu ciepły płaszcz, i w lekkiem ubraniu ze zwojem skóry pod pachą w trzaskający styczniowy mróz pędem prawie, by nie ulec zamarznięciu, przebiegłem bez wytchnienia powrotną do domu trzymilową drogę.

Co prawda, to nie ja jeden tylko pracowałem. Dłubał ojciec co umiał, przędła matka ~~dniami~~ i nocami, także brat Franek prawie codziennie na zarobek do miejscowego dworu chodził. Wszystkie te razem wzięte zarobki były przecież marne, w tym bowiem czasie środki żywności z powodu nieurodzajnego lata były bardzo drogie. Franek (spory już wówczas wyrostek) za cały dzień pracy ~~miesiąca marca~~ na wiosnę w dworskim ogrodzie zarabiał zaledwie dziesięć centów. Ziarno nabywała matka po garści kolejno w tej i owej chałupie, a wysuszywszy je na blasze kuchni, dawała mi je do zmielenia w żarnach, przy której to robocie pomagał mi Franek, skoro do domu z całodziennej we dworze pracy powrócił. Raz przy takiem ~~mełciu~~ mieleniu doleciał mię od

Franka niemiły zapach, że wręcz trudno było naprzeciw niego wytrzymać. Na wszelkie jednak pytania, skąd ten fetor pochodzi, nie ~~umiał~~ chciał mnie objaśnić. Ale w końcu przyczyna się wydała. Oto będąc zajęty na dworskim ogrodzie, zmazał biedak na rzętorocznych grządkach ~~kil~~ parę dobrze zachowanych cebul – i tym specjałem skurcz żołądka tłumił.

Żył w sąsiedniej obok Wielowsi wsi, Fresni, sędziwy gospodarz, dość wówczas zamożny, Michał Bęc, który zamierzał zaopatrzyć siebie i domowników w ~~większą~~ obuwie. ~~ilość obuwia~~; a ponieważ byłem mu znany jeszcze z czasu mego terminatorstwa, sprowadził mnie z całym moim szewskim warsztatem do ~~siebie~~ swego domu, i tam też po zakupieniu przez gospodarza większej ilości skór, zabrałem się do roboty. Tu już ~~sytuacja~~ moje ~~mego~~ położenie materjalne ~~zmieniać~~ się poczęło.

~~Mój~~ Poczciwy ~~gospodarz~~ Bęc lubił słuchać opowieści, to też najwięcej przy mnie przesiadywał; ja zaś nie przerywając roboty, opowiadałem mu już to prawdziwe, już też zmyślone, w książkach wyczytane, przeważnie zabawne opowieści, których Bęc słuchał z przejęciem, od czasu do czasu wybuchając ~~dłużej trwającym~~ śmiechem, a że był nie najgorszej tuszy, trzymać się musiał to za brzuch, to znów poręczy kanapy, na której siedział, by się na ziemię nie zsunąć. I tu już lżej oddychać poczęłem, a głodu nie zaznałem.

Z dni mego pobytu w domu Bęca zanotować wypada dla charakterystyki tego poczciwego chłopa następujący wypadek: W pewien dzień targowy udali się gospodarstwo do miasta, pozostawiając w domu mnie i służbę, w polu i oborze zajętą. Podczas południowego spoczynku pastuch gospodarza, nie czując nad sobą dozoru, począł sobie trochę zawiele pod moim adresem pozwalać. Gospodarz po powrocie dowiedziawszy się o nagannej swawoli wisusa, przywołał go przed siebie i rozkazał mu klęknąć przedemną ~~i przeprosić~~, co gdy winowajca uczynił, gospodarz potężnym rzemieniem jął mu zapamiętale plecy łoić, że musiałem tę zapamiętałość karzącego rozbrajać, bo nikt z domowników protestować nie śmiał. Wspominam o tem dlatego, że obyczajności wyrostków i dzieci, a nierzadko nawet i starszych osób, w odnoszeniu się do ludzi kalectwem

dotkniętych, w wielu jeszcze naszych wsiach dużo pozostawia do życzenia. Dość pod tym względem na sobie doświadczyłem. Oto np. idę ulicą, za mną zaś drepce pięcioletnia dziewczynka z nieprzyzwoitemi gestami, a pewnie jeszcze nieprzyzwoitszemi słowami; mamusia zaś stojąc na progu domu, z radosnym uśmiechem podziwia spryt swej latorośli, a zachęca do brzydkiej swawoli.

Mam od najmłodszych lat wrodzone poczucie osobistej godności, nie uważałem więc za stosowne reagować na tego rodzaju zaczepki osobników niespełna rozumu. Ale inni czy potrafią tak samo równowagę ducha utrzymać? A kalek wszelkiego rodzaju po naszych wsiach mamy niestety aż zawiele. Oto porusza się wolno przez wieś ociemniały nędzarz, kijem drogę przed sobą macając; za nim i przed nim gromada rozswawolonych dzieci: ten go szarpnie za połę łachmana, tamten kij albo polano pod nogi podstawi, ów zaś nad samym uchem przeraźliwie wrzaśnie... Nieszczęśliwy kaleka próżno na wszystkie strony kijem wywija, a półdzika zgraja zanosi się od śmiechu. Za chromym znów naśladują kulawiznę, za plecyma głuchego rozlegają się najordynarniejsze wyzwiska. Ci niby na to nie uważają, niby niczego nie wiedzą, ale jakiż żal a ból w duszy i sercu tych nieszczęśliwych rodzić się musi!

Jest to jedna z najsmutniejszych i najboleśniejszych stron wsi naszej. Oj rodzice, rodzice, a osobliwie matki! Inaczej kształćcie wy serca dzieci waszych, jeśli nie chcecie, by na ich późniejszem życiu klątwa niebios zawisła.

Do Bęca niemal codziennie zachodzili gospodarze z wsi sąsiednich, a najwięcej z Wielowsi. Znajomi z Wielowsi przypatrzywszy się mej robocie, prosili, bym, skoro gospodarzowi robotę wykończę, przyszedł do nich z warsztatem. Uporawszy się zatem z robotą u Bęca, szewski mój stołek, kształt kwadratowego stolika mający, z tą różnicą, że wierzch jego stanowiła skóra, kładłem na ziemi nogami do góry i, niby w paczkę, układałem w nim mój „warsztat", poczem objąwszy go powrozem i założywszy sobie na plecy,

wyruszyłem do Wielowsi, żegnany przez Bęca na odchodnem słowami: „Na drugą służbę idziesz; szczęść ci Boże!"

Jakkolwiek do Bęca a od niego do Wielowsi przyszedłem na pewien tylko czas, stało się przecież, że do Kraw nie miałem poco wracać; po wykończeniu bowiem roboty jednemu, drudzy mię brali zaraz do siebie — poprostu rozrywany byłem. Wędrowałem więc „od chałupy do chałupy", nikomu, kto mię prosił, nie odmawiając. Przypatrzyłem się więc dokładnie życiu tak pierwszych we wsi gospodarzy, jak i chudobnych chałupników, używając u ~~[illegible]~~ pierwszych na kiełbasie i jajecznicy, u drugich zaś poprzestając na postnych ziemniakach i żurze, co jednakowoż nie decydowało o tem, do kogo mam naprzód pójść, a szedłem tam, gdzie szczerem prostem a życzliwem mię proszono. U biedaków przecież, jako że sam do tej kategorji ludzi należałem, czułem się więcej swobodny.

W butach zatem mej roboty paradował i gospodarz majętny i chałupnik chudobny i dziewczyna córka posażna i sierotka biedna, i pan organista i dziadus dzwonnik, a wreszcie i ksiądz proboszcz i pan rządca we dworze.

Podczas zajęcia przy warsztacie w poszczególnych domach, w przerwach dnia, a zwykle wieczorami, ~~kiedy~~, kiedy domownicy w izbie zgromadzeni byli, opowiadałem im różne historyjki i anegdoty, najczęściej w zeszytkach „Dzwonka" i „Chaty" wyczytane; poczem deklamowałem poważne treścią wiersze, jakich sporą wiązankę na pamięć umiałem, a między niemi legendy o św. Janie Kantym, jak:

„Było to w maju. Na nieba lazurze
Księżyc się wdzięcznie przymilał naturze",

albo: „Błysła na niebie jutrzenka złota,
Gwiazdy w nieznane mkną światy,
Z rosą poranną łzami sierota
Nadwiślańskie skrapia kwiaty".

Legendę o wskrzeszeniu przez św. Jacka wybitego gradem łanu pszenicy w Kościelcu:

„Koło Krakowa w rozkosznej dolinie,
„Gdzie nasza Wisła srebrną wstęgą płynie", –

a gdy przyszedłem do słów:

„Już gospodarze sprzątają stodoły,
Parobcy jarzma gotują na woły,
Dziewczęta każe przy głośnej gawędzie
Pachnącą rutę zbierają na grzędzie,
A w chatce stojąc przy dymnym kominie,
Prostą wieczerzę warzą gospodynie",

kobiety szczególnie były zachwycone; to z taką prostotą określenie sielskiego życia, tak im do serca przypadło.

To też po skończeniu jednego opowiadania domagali się dalszego, że częstokroć byłem w prawdziwym kłopocie, skąd tematu do opowieści zaczerpnąć.

Po kilku miesiącach pobytu w Wielowsi przekonawszy się, że roboty nigdy mi tu nie braknie, powziąłem zamiar wynająć osobną chałupę i rodziców sprowadzić; ta bowiem ustawiczna przeprowadzka z robotą z chałupy do chałupy ani praktyczną ani też wygodną nie była.

Wójt ówczesny, Jędrzej Piętak, nasz bliski krewny, bardzo zacny i poważany człowiek, odradzał mi zamiaru sprowadzenia do Wielowsi rodziców, mówiąc: „Jeżeli chcesz prowadzić warsztat w miejscu, to możesz u mnie stale mieszkać i stołować się za skromną opłatą; ze sprowadzeniem rodziców nie masz się czego kwapić. Tam zawsze oni prędzej znajdą zarobek, o który tutaj byłoby im trudno, sam zaś nie podołałbyś ich utrzymać i zamiast warsztat ~~sobie~~ rozszerzyć, zejdzien z powodu braku ~~...~~ potrzebnej w rzemiośle gotówki do roli zwykłego łatacza i tem samem przysłożyć sobie zwichniesz". Jakkolwiek wójt Piętak szczerze radził, ~~przecież~~ przecież wzgląd na rodziców przemógł i niedługo sprowadziłem ich do Wielowsi, gdzie zamieszkaliśmy w chałupie wynajętej od Rafała Czecha, bardzo poczciwego i światłego, małorolnego kmiotka, późniejszego kuma mego, z którym do dziś nieprzerwanie łączą mnie serdeczne stosunki.

Odtąd troska utrzymania całego domu spadła na moje barki, a zarazem sprawdziły się słowa Piętaka. Ojciec otrzymał wprawdzie ~~obowiązek pis~~ posadę pisarza gminnego w tej gminie – i gdyby nie owe, na wstępie tej książki wspomniane przyczyny, byłoby nam wcale

znośnie, - lecz na posadzie tej nie długo się utrzymał.

Pracowałem więc ile sił starczyło całemi dniami od godziny 4 rano do 8-9-10 wieczorem, a nierzadko do 12 i 2 w nocy, mimo to nie mogłem robocie podołać.

Zdawałoby się, że przy takim nawale roboty i wytężonej pracy musiałem jaki taki grosz zaoszczędzić, tem więcej, żem pieniędzy nie trwonił, w karczmie nie bywał, a na weselu rzadko kiedy mnie widziano - ale gdzież tam! Brak grosza ustawicznie odczuwać się dawał, ku czemu w znacznej mierze przyczyniali się sami moi odbiorcy, nie płacąc gotówką za robotę, lecz każąc czekać w nieskończoność. A przecież życiem i rodzinę utrzymywałem jedynie z tego, com zarobił. Bywało więc tak: zamawia ktoś buty i daje skromny zadatek; ja zaś nie mając gotówki na materjał, bo ludzie z uiszczeniem zaległości - niezaz stosunkowo znacznych - nie kwapili się, a ~~mając~~ chcąc jakoś żyć, zniewolony byłem brać wszystko na kredyt. „Usłużny" żydek naborgowawszy mi już skór na kilkadziesiąt reńskich, podnosił mi cenę materjałów; ja zaś nie mogąc uiścić się z zaległego długu, musiałem przystać na znacznie wyższe ceny, niżby to za gotówkę wyniosło, brnąc stopniowo w coraz to większe długi. Biada ~~temu~~ rzemieślnikowi, który w szpony żyda-lichwiarza wpadnie!

Najmilszą rozrywką monotonnie upływającego mi życia były obok książek gazety, których każdej soboty niecierpliwie z poczty wyglądałem. Książki atoli, jakie od czasu do czasu kupowałem, nie wystarczały, - to też prawdziwy kłopot sprawiały mi spotykane w gazetach ogłoszenia i oceny coraz to nowych ukazujących się na półkach księgarskich książek, na zakupienie których nie zawsze zdobyć się mogłem, żądza zaś posiadania ich spokoju mi nie dała.

Ostatecznie wziąłem się na sposób. Przypomniałem sobie mianowicie, jak to ojciec mój wspominał niejednokrotnie hr. Stanisława Tarnowskiego, od którego podczas odsiadywania więzienia na zamku Krakowskim za udział w wypadkach 1863 roku wiele doznał dobrodziejstw. Postanowiłem więc, ~~wyzyskać~~ wyzyskując tę

dawną ojca znajomość, zwrócić się do niego z prośbą o książki.

Nic nikomu nie mówiąc, napisałem list, który po pewnem wahaniu oddałem na pocztę. Ale już na drugi dzień żałować począłem tego kroku. Jakto — myślałem — taki pan ~~uczony filozof~~, prezes Akademji Umiejętności, rektor najwyższej w Polsce uczelni, miałby czytać nieudolne listy nieznanego parobczaka i na nie odpowiadać?... A kiedy już piąty dzień od nadania listu upłynął, pewny byłem, że pomysł mój pożądanego skutku nie odniesie. Ale szóstego dnia doręczył mi posłaniec fracht pocztowy. Nie czekając okazji, kopnąłem się natychmiast do Tarnobrzega na pocztę, skąd przydźwigałem do domu pięciokilogramowej wagi paczkę książek, które ani nie umiem opisać, jaką radość mi sprawiły. Między nadesłanemi książkami znalazłem także dzieło zacnego ofiarodawcy pt. „Nasze dzieje w ostatnich stu latach", popularną, ślicznym, przystępnym każdemu językiem napisaną książkę, z której potrzebną wiedzę czerpałem. Książkę tę, aczkolwiek obecnie dość już nadszarpaną, przechowuję jako miłą pamiątkę.

Odtąd, gdy znów dalszych książek zapotrzebowałem, już śmielej do „Pana Stanisława" — jak go popularnie w gronie jego wielbicieli nazywano — pisałem i zawsze książki otrzymywałem.

W końcu jednakże już mi same książki nie wystarczały! Zapragnąłem zwiedzić Kraków. To już trudniejsze było przedsięwzięcie. Na koszta jazdy koleją byłbym się jeszcze zdobył, ale z utrzymaniem w tak wielkiem a w dodatku zupełnie nieznanem mieście jak będzie? Napisałem więc do mego zacnego protektora list, w którym wyłuszczywszy gorące pragnienie zwiedzenia Krakowa i jego pamiątek, prosiłem go o umożliwienie mi osiągnięcia spełnienia pragnień, oświadczając zarazem, iż udzieloną w tym względzie pomoc odrobię. Wyobrażałem sobie bowiem w swej naiwności, że ~~pan~~ hrabia zgodzi się, bym w pewnych godzinach robił u niego czy to w domu czy w ogrodzie, wolne natomiast chwile obracając na zwiedzanie pamiątek.

Upłynęło parę tygodni, a odpowiedź nie przychodziła. I kiedy, zwątpiwszy już w urzeczywistnienie ~~swych~~ moich marzeń, sprawy tej pomału zapomniałem, jednego dnia otrzymał~~em~~ list – na poczcie w Tarnobrzegu nadany – w którym po rozcięciu koperty wyczytałem co następuje:

„Dzików, 27 sierpnia 1896. – List odebrałem tu. Teraz nikogo z nas w Krakowie nie ma, i nie wrócimy na stały pobyt aż w Październiku. Ale jeżeli chcesz przyjechać obejrzeć Kraków, to zawsze możesz u nas mieszkać, bez żadnego odsłużenia; tydzień aż nadto wystarczy, żeby obejrzeć. Ale myślę, że lepiej przyjechać wtedy jak ja już będę w domu. Do widzenia i szczere życzenia pomyślności. St. Tarnowski".

Można sobie wyobrazić, jaką list ten, który między pamiątkami starannie przechowuję, radość mi sprawił.

W październiku 1896 r. wyjechałem do Krakowa. Przybywszy na miejsce, udałem się przed pałac hrabiego na Szlaku (przy ul. Warszawskiej). Stary stróż atoli zatrzasnął mi bramę przed nosem. Na szczęście, w przewidywaniu pewnych trudności, przygotowałem jeszcze w domu list; dobywszy go więc posłałem do doręczenia ~~panu~~ hrabiemu. ~~posłałem~~ Stróż list wziął i oddalił ~~się~~ się, pozostawiając mnie na ulicy. Po krótkiej chwili zobaczyłem stróża, z pałacu spieszącego „na dyrdaka". Teraz oczywiście bramę otworzył i do pałacu mię zaprowadził. Za chwilę zjawiła się ~~pani~~ hrabina. Po przywitaniu i wstępnej wymianie słów oznajmiła ku memu niepomiernemu smutkowi, że ~~[illegible]~~ hrabia chory, nie będę więc mógł na razie z nim się widzieć; poczem dała mi znak, bym tymczasem usiadł i poczekał na posiłek, który niebawem służba podała.

Jakkolwiek nie wątpiłem, że ~~pani~~ hrabina wiedzieć musi, iż nie słyszę, mimo to przygotowany byłem na niejedną początkową trudność co do wzajemnego porozumienia się, – tymczasem rozmowa poszła nadspodziewanie gładko. Uwiadomiona o mojem ~~przybyciu~~ przyjeździe, zaraz ku mnie wyszła, zaopatrzyła się w papier i ołówek i początkowo przy pomocy pisma zadała mi kilka pytań i udzieliła wyjaśnień, potem posługiwała się już w rozmowie ze mną gestykulacją i to tak wybornie, że nawet rodzice moi, przy boku których od dziecka żyłem, podobnej sztuki nigdy dokazać nie umieli. Na tem miejscu wypada zaznaczyć drobny

jej, od jak dawna nie słyszy, odpowiedziałem, że już 18 lat, ona zauważyła, iż bardzo dobrze mówię jak na takiego, który nie słyszy od tylu lat.

szczegół: Gdy na zapytanie ~~pani hrabiny: „od jak dawna nie słyszycie?" odpowiedziałem, że już 18 lat, ona zauważyła: „ale bardzo dobrze mówicie jak na takiego, co nie słyszy od tylu lat."~~

Po chwilowym odpoczynku i posiłku odprowadzono mnie do państwa Matusiaków, u których przez cały czas mego w Krakowie pobytu mieszkać miałem, i otrzymywać wikt; ~~pani~~ hrabina bowiem z powodu choroby męża zmuszona była przy nim czuwać, — opiece zaś służby nie chciała mnie powierzać.

Rozpocząłem więc po Krakowie moją wędrówkę, która sześć dni trwała. Nie będę jednakże opisywał doznanych wrażeń, których niezatarte piętno to serce Polski bezcennemi skarbami swemi na ~~mojej~~ młodej, wrażliwej duszy mojej wycisnęło, bo pióro moje ku temu zasłabe. Zaznaczę tylko, że z wycieczek tych nie mogłem korzystać tyle, ile każdy inny z nieodjętym słuchem korzystać może, tem bardziej jeszcze, że chodziłem bez przewodnika. ~~Kto zaś z szanownych czytelników moich nie był jeszcze w Krakowie, a pragnąłby coś o tym grodzie wiedzieć, — odsyłam go do książek z opisami Krakowa i jego pamiątek.~~

Z pomiędzy drobnych zdarzeń moich w Krakowie z owego czasu przytoczę jedno~~, że to ku przestrodze nieświadomych, by byli ostrożnymi z narzucającymi się im nieznanymi bliżej ludźmi.~~

Pewnego wieczora, wracając z moich po mieście wędrówek na stancję, wstąpiłem gwoli wytchnienia do jednej z podrzędnych piwiarń na Kleparzu, każąc podać sobie szklankę piwa, a wydobywszy tytoń, skręcałem papierosa. Wtem od przeciwnego końca stołu przysunęło się do mnie dwóch mężczyzn, obaj w sile wieku. Jeden z nich o typie mieszczucha, całą swą fizjognomią przypominał piwiarnianego bywalca; drugi zaś, z kusa ubrany, z bokobrodami, już na pierwszy rzut oka ~~zdradzał~~ zdradzał cudzoziemca. Pierwszy przedstawia mi się: „Syn obywatela Krakowa", a wskazując na swego towarzysza, dodał: „ten jest saksończyk" — i bezpretensjonalnie sięgnął po mój tytoń, który, po skręceniu sobie papierosa, bez pytania o moją zgodę podsunął swemu

towarzyszowi. Ów zaś zagłębiwszy w środek paczki trzy palce, wydobył sporą porcję tego narkotyku. Podsunąłem mu bibułkę w nadziei, że resztę do paczki odłoży, lecz miły saksończyk przecząco pokręcił głową. Co – myślę zaniepokojony – taki drogi tytoń będzie zamiast w fajkę ładować?... Ale Niemiec przechyliwszy w tył głowę i rozdziawiwszy gębę jak kania dziób, kiedy napoju deszczowego pożąda, towar ten do niej z góry wpakował. Acha, będzie żuł – myślę dalej; i ciekawy byłem widzieć, jak też wygląda to żucie, – podczas którego żółty sok, z śliną zmieszany, wydobywając się kątami ust żującego, po brodzie mu spływa, – lecz „sympatyczny gość" mlasnął tylko języczkiem – i po wszystkiem! Formalnie zjadł ten specjał, który musiał mu bardzo smakować, bo się oblizywał, a pożądliwie na resztę spozierał; zatem bojąc się, by mi wszystkiego nie zjadł, schowałem tytoń do kieszeni. A kiedy w dodatku miły „syn obywatela Krakowa" zwrócił się do mnie ze skromnem życzeniem, bym „trzy piwa zapłacił" – skorzystałem z chwilowego zgiełku i, uściwszy się, niepostrzeżenie opuściłem piwiarnię.

Przed wyjazdem z Krakowa udałem się do czcigodnych państwa Tarnowskich, by im za to pokrzepienie ducha wizją naszej przeszłości podziękować. Tu hrabina oprowadzała mię po całym swym pałacu, pokazując dzieła sztuki, zabytki i pamiątki rodzinne, a uciążliwość rozmowy ze mną nie zniechęcała jej. W pracowni literackiej męża pokazała mi między innemi oryginalny obraz mistrza Matejki, osobistego przyjaciela autora „Historji literatury polskiej", wyobrażający Królowę Korony Polskiej w otoczeniu świętych Polaków, dalej obrazy różnych naszych i obcych malarzy, dawną zbroję, itd. W jednej z sal zdjęła ze ściany karabelę i wydobywszy ją z pochwy, podprowadziła mię ku oknu i pokazała na klindze wyryty taki napis:

„Krzyż na czoło. Kord na wroga
„Tnij a śmiało – w Imię Boga.
Z temi słowy masz tę szablę
Gdy nią rąbniesz to już diable
Polak radzi Polakowi
Ojciec w darze śle synowi."

Napis ten tak mi się ~~s~~podobał, że wyraziłem życzenie posiadania jego odpisu, co też ~~[illegible]~~ hrabina własnoręcznie na białej kartce jednej z ofiarowanych mi książek wypisała.

Nie mogę się wstrzymać, by na tem miejscu nie wyrazić zacnej tej Pani gorącej wdzięczności za to serdeczne ciepło, jakiem mnie, prostego, ubogiego chłopa w swym domu darzyła. Zawsze uśmiechnięta brała mię pod rękę i prowadząc od przedmiotu do przedmiotu, z pokoju do pokoju, objaśniała celniejsze dzieła i zabytki, zapisując obj~~aśnieniami~~ temi całe arkusze papieru.

Zobaczywszy się jeszcze z Prezesem Akademji Umiejętności i podziękowawszy mu za względy, obdarowany w końcu stosem książek, wyjechałem do domu, unosząc z sobą miłe wspomnienia, połączone z serdecznem uczuciem wdzięczności dla ~~[illegible] tych ludzi~~ czcigodnych tych osób.

VIII. ~~XI.~~

Mój ożenek. – Pożar Wielowsi. – Pierwsza nieruchoma własność. – Powstanie Kasy Raiffeisena w Wielowsi. – „To wszystko tylko ziemi niewarte". – List żyda-skórnika. – ~~Brat Franciszek.~~ –

W parę miesięcy później, 19 stycznia 1897 roku, w kościele parafjalnym w Wielowsi odbył się mój ślub z Gertrudą Wrykówną, ubogą dziewczyną, sierotą po obojgu rodzicach. ~~Nie mogę jednak powiedzieć, że dobry zrobiłem wybór. Wprawdzie żona moja jest poczciwą, skromną, cichą, pracowitą i umiejącą nauczoną na małem poprzestawać kobietą, ale nie umiejącą się zastosować do prądów czasu, dlatego więc nasze będąc całkiem sobie obce, nie rozumiemy się.~~

Żonę sprowadziłem do Wielowsi, gdzie wraz z rodzicami memi zamieszkiwaliśmy wynajęty od paru lat za czynszem od miejscowego dworu dom. W maju 1898 r. wybuchł w Wielowsi wielki pożar, który część wsi w perzynę obrócił. W pożarze tym spłonął także zamieszkiwany przez nas dom, a wraz z nim część naszego skromnego mienia.

Wielki ten pożar spowodowany został przez żądem jednej z gospodyń, która zakupiony od ~~wymienionego si~~

wynoszącego się do Ameryki żyda dom postanowiła wykadzić ziołami podobno w celu „wypędzenia złych duchów". Podczas tego „kadzenia" zajęła się pajęczyna, od pajęczyny strzecha, wreszcie cały dom stanął w płomieniach, a silny wicher wyrywając płonące snopki ze strzechy, unosił je na słomiane dachy dalszych zabudowań, miejscami nawet na tysiącmetrową odległość. Tak więc przez zabobon nieopatrznej kobiety „wykadzonych" zostało dokumentnie około 50 domów wraz z zabudowaniami gospodarczemi.

Spowodowany tym pożarem brak mieszkań w Wielowsi zmusił nas do przeprowadzenia się do sąsiedniego Sielca, gdzieśmy u brata żony, Michała Wrytka, zamieszkali. Rodzice moi pozostali w Wielowsi.

W tym czasie ogłosił hr. Zdzisław Tarnowski, właściciel wielowiejskiego dworu, sprzedaż placu, na którym spłonął był dom przez nas zamieszkiwany. Postanowiłem plac ten kupić; nie posiadając jednakże na ten cel całkowitej gotówki, ~~prosiłem właściciela, by mi części ceny kupna poczekał, o czem tenże słyszeć jednak nie chciał.~~ ~~Zwróci~~ zwróciłem się ostatecznie do klasztoru S.S. Dominikanek w Wielowsi z prośbą o pożyczkę. Że zaś klasztorowi temu bardzo zależało na tem, bym w jego pobliżu osiadł, byłem bowiem „generalnym opiekunem róż i ogrodów" wielebnych sióstr, pożyczkę tę ~~z pewnemi zastrzeżeniami~~ uzyskałem. Udałem się więc ~~ponownie~~ do Dzikowa i do rąk ~~pana~~ hrabiego całą żądaną przezeń kwotę 450 reńskich uiściłem.

Stałem ~~się~~ więc pierwszy raz posiadaczem własnej parceli, obszaru 370 sążni kwadratowych. Później kupiłem w sąsiedniej wsi starą komórkę, którą do Wielowsi zwiozłem i dokupiwszy jeszcze cegły, postawiłem jaką taką chatynkę, mizerną wprawdzie, ale własną, do której z żoną i dzieckiem sprowadziłem się.

Odtąd coraz cięższej borykałem się z niedostatkiem. Na zakupno bowiem placu i postawienie

na nim chałupy pozaciągałem krótkoterminowe długi; dzieci mi Bóg nas darzył, a poczciwi ludziska podług dawnego, wygodnego dla siebie systemu, za robotę płacili.

Nareszcie usłużny handlarz skór zauważywszy, że coraz trudniej wegetuję, wytoczył mi skargę sądową o uiszczenie całkowitej zaległości za pobrane u niego na borg towary. Istniała już na szczęście w Wielowsi parafjalna Spółka oszczędności i pożyczek, oparta na systemie kas Raiffeisena, powstała dzięki staraniom światlejszych miejscowych kmieci ~~z Walter~~ z Walerjanem Wrykiem i Władysławem Ossowskim na czele, przy moralnem poparciu miejscowego proboszcza śp. Ks. Władysława Ciechanowicza, ~~przewodniczącego rady nadzorczej tejże spółki~~. Do tej więc kasy wniosłem podanie o pożyczkę w kwocie 600 koron (300 reńskich = złr). Pożyczkę mi uchwalono, ale ~~żaden z najlepszych przyjaciół~~ nikt poręczyć mię nie chciał. Musiałem w końcu wierzytelnością tą obciążyć hipotekę swej realności.

Zaraz po podjęciu pożyczki ujawniło się wyraziściej, z jaką przychylnością traktowano moje zamiłowanie do książek i samokształcenia. Pomijając już to, że wielu z sąsiadów głośno nazywało mnie pogardliwem niby w ich przekonaniu mianem „gazeciarza", a na które to przycinki rozmaitych duchowych mołotków nie miałem najmniejszej potrzeby odpowiadać, — ~~wymowo~~ głębsze zastanowienie wywołać musiał następujący charakterystyczny szczegół: Oto wspomniany proboszcz, ks. Ciechanowicz, kapłan cieszący się pełnią zaufania swych parafjan i do mnie osobiście z sympatją się odnoszący, przywołał do siebie moją żonę i upomniał ją, by pilnowała, żebym książek nie kupował. Nic więc dziwnego, że jeden z rodziny żony ~~szwagier mój Marcin Wryk~~, chłop niezwykle uczciwy, ale z ograniczonym poglądem na świat i sprawy naród nasz obchodzące, wstąpiwszy raz do mnie wczesnym poniedziałkowym rankiem i zobaczywszy na stole porozkładane książki, nad któremi do późnej nocy pochylony byłem, a uprzątnąć ich czasu nie miałem, odezwał ~~odezwał~~ się do przygodnego znajomego, wskazując na książki: „To wszystko łyżki żuru nie warte"...

Otrzymawszy pożyczkę zaspokoiłem przedewszystkiem żyda-skórnika, a poczyniwszy przy tej sposobności u niego drobne zakupy, porzuciłem go, zaopatrując się odtąd w potrzebny materjał u innego skórnika, Suchera Wiesenfelda, rodzonego bratanka tamtego, – chrześcijańskiego bowiem handu skór w Tarnobrzegu dotychczas nie ma.

Dla rozrywki oraz dla łatwiejszego wyrobienia sobie pojęcia, ile wspomniany pierwszy handlarz zarabiać na mnie musiał, dalej dla przykładu, jak żydzi nawet między sobą współzawodniczą, o ile chodzi o ujęcie w swe polipie macki chrześcijańskich odbiorców), przytaczam poniżej charakterystyczny list, przez starego skórnika do mnie wystosowany, a przytaczam go w całości w niezmienionej pisowni oryginału, znakami pisarskimi (kropki, przecinki, pytajniki) jedynie uzupełniając.

Szanowny Pan Ferdinant Kuraś Wielowieś.

Prośie ja pana či ja sie to u pana zasłużił azebi pan odemnie odeset? przećongu 16 lat pan zemną handlowal, miał pan jaki przikrośći? ci ja pana wkedi osukol w rachunku ci na waya, ci ja sie wkedi pana pital ci jest pieniendzi ci niema? żebi pan był chcial na 500 złr. takze bym panem zborgowal; a ten śmarkać Sucher Wiesenfeld co pan unego 2 albo 3 razi handlowal jak pan odemnie odeset, to juz niema 10 ludzi w mieście zebysie on nie pitol ci panem możno 10 złr zborgować, ci pana jest naco paćżitz, i nawet Meiura Z Wielowsi śie pitoł w tamti środi takze, ci panem mozno na 10 złr. zborgować; możeś śie pan Meiura zapitać ci prawda to jest. Więc ja pana prosie azeby sie pan powrucil nazot do mnie; bendześ pan Honorowi; zawdi jest lepi u starego kupca handlować. Pan mnie zno a ja pana tyz znam, do resty pan sie nimial o co złośćić. Ostatniom razam ze nimiałem takie czewiki do śnurowania sakerskie to panem posłałem ćielęce po 160 to pan mnie możeś zawierzić ze mnie samego kostuje po 170 *), takze pana nie ośukałem, tylko ze pan poczebowol

*) 1 złr. 70 ct. = 3 Kor. 40 hal.

stych tanśe, to jescie sie nieopłaci o taki bagatelo tak złościć. Ostatniem razem jak mi pan odol te pieniendzi, pan zoudał dla zony pare crewiki to zaraz panem dałem w podarunek; więc nimiał pan tak kuniecnie ocego odemnie odchodzić, nimiał pan takie krziwda odemnie. Przijeć pan na drugi tydzeu to pan dostanie ruzni towar jaki tylko pan zechce i nie drogo; pośle po dobre butelka wina i pan sie zemno poprosi. Bendze pan kuntet bo wśistke towarż pan umnie dostanie świze, bo byłem w drodze w tamten tydzeu. Bądź pan zdrów odemnie, pozdrawiam zone i dzieci. Abraham Izak Wiesenfeld. dnia 25/7 1906". —

List ten jednak, pomimo tak przekonywujących argumentów, spodziewanego rezultatu jego autorowi nie przyniósł.

Na tem miejscu wspomnieć mi wypada ~~kiec~~ jeszcze o braciach, których w toku opowiadania pominąłem. Młodszy, Władysław, ukończywszy szkołę ludową w Tarnobrzegu udał się do Dublan, gdzie w niższej szkole rolniczej naukę pobierał. Franciszek zaś powołany w swoim czasie do służby w austrjackiem wojsku, dostał się do Wiednia, gdzie po wysłużeniu lat wojskowych otrzymał podrzędne stałe zajęcie przy kolei. Zamierzając nadal w Wiedniu pozostać, doniósł nam pewnego dnia, że się tam ożenić postanowił. Daremnem~~a~~ były moje perswazje i przedstawienia, by wrócił między swoich i tu żonę sobie wyszukał; uparł się i zamiar swój przeprowadził.

~~[Służąc nieprzerwanie całe trzy lata w austrjackiem wojsku i obracając się w wielkiem, obcem Polakowi mieście, nie posiadając przytem poza słabem elementarnem zaledwie wykształceniem — ~~o ile to~~ ~~wykształceniem~~ ~~nazwać~~ można, — szerszych, niezbędnych przeciętnemu człowiekowi wiadomości, wyobrażał sobie, jak ów ~~nieoceniony~~ Szczepan-urlopnik z Anczycowych „Chłopów arystokratów", że stał się przez to czemś wyższem od ludzi ze wsi, między którymi wyrósł, i~~

mądrzejszym od nich. Mając tam przeważnie z Niemcami do czynienia i nie słysząc ojczystej mowy, ~~małpować~~ naśladować począł niemiecki szwargot.

Pisać po polsku umiał bardzo słabo, po niemiecku nic, do książek zamiłowania nie miał; w Wiedniu tymczasem wyłącznie niemieckie drukowane słowo mogło się mu do rąk dostać. To też listy jego, do nas pisane, były wprost potwornemi dziwolągami. Uwidziało się mu bowiem, że po niemiecku wszystko już umie i tem chciał się popisać, wyobrażając sobie, jak też tej jego mądrości dziwić się będziemy. I oczywiście bardzo się dziwiłem. Zauważył ~~początkowo~~ w niemieckiej pisowni litery z dwiema kropkami, jak ä, ü, ö, któremi w listach swych począł się posługiwać, zestawiając przytem pojedyncze wyrazy tak okropnie bałamutnie, że ani najuczeńszy rodowity Niemiec, ani Polak, ~~ani żaden Chińczyk~~ tak pisanych słów wyrozumieć by nie mógł. Prócz tego wszystkiego podpisywał się stale: Franz.

To mię ostatecznie zbuntowało i zwróciłem ojcu uwagę na te bałamuctwa. Ojciec przyznał mi słuszność*, polecając, bym Frankowi uwagę na to jego uprzedzenie zwrócił. Napisałem więc do niego, tytułując go jak zwykle drogim bratem. Wytłómaczywszy mu po bratersku niewłaściwy sposób pisania, dla łatwiejszego zrozumienia jak pisać należy, do swego listu dołączyłem jego własny list, w którym stosowne poprawki i objaśnienia poczyniłem. Prócz tego zwróciłem mu i tę jeszcze uwagę, że urodziwszy się polakiem, polskiem powinien podpisywać się imieniem: Franciszek, bowiem ten niemiecki Franz wszystkich nas boli.

Nie długo czekałem na odpowiedź. List Franza zaczynał się od słów: „Nie jestem drogi brat", a zawierał żałosne skargi, wyrażające się w słowach: „O Boże, nie spodziewałem się, że własny brat tak mi się odpłaci" itp., a na dobitkę podpisał się z uporem: Franz. Poza tą całą tragifarsą

odwzajemniając się mi pięknem za nadobne, połą-
czył do tego listu mój ostatni list, który tak mu
humor popsuł — z poczynionemi w nim przez siebie
„poprawkami"...

Tego już było zawiele. Odpisałem mu natych-
miast, przepraszając go bardzo grzecznie za sprawioną
mu mimowoli przykrość. W niemałym jednak
byłem kłopocie, jak mam go tytułować, by go nie
urazić, wszak sam twierdzi, że nie jest „drogi brat",
nie jest również Franciszkiem, podpisawszy się i tym
razem niemieckiem Franz; własnego zaś brata ty-
tułować ~~rodow~~ rodowem nazwiskiem, czy „panem"
byłoby i niemądre i nieprzystojnie, — walę więc
~~w niego~~ tytułem: „Kochany Franzu", ileż-to jak
najczęściej powtarzając, a więc: „daruj Kochany
Franzu, że uraziłem cię mimowoli, Kochany Franzu,
czego bardzo żałuję, Kochany Franzu;" — i tak do
końca. Myślałem, że teraz naprawdę się udobrucha.

Tymczasem za parę dni otrzymał ojciec od
Franka list, zawierający pełno narzekań i skarg
na Ferdynanda, że go wymyśla, że go „przezywa"...
itd., — ale tym razem pisał już bez dziwolągów
~~i~~ i podpisał się grzecznie: Franciszek.

Bolało mię wprawdzie niewymownie, gdy z taką
gorzką ironją do brata pisałem — ale innego
wyjścia nie było. Obowiązek narodowy przedewszy-
stkiem! Rozłam tę bratnią sprzeczką wywołany
trwał wnetkie krótko i Kochany Franzu aż dotąd
ani razu w listach do mnie pisanych owego
„Franza" nie podoźył.

Poza tą wadą odznaczał się przecież Franek
dobrocią i pracowitością, ale że nie był oczytany,
podczas trzechletniego przebywania w austrjackiem
wojsku, w którem tylu naszych parobczaków
charaktery swe spaczyło, jak w żadnem chyba wojsku
na świecie, — popadł w pewnego rodzaju chorobę ducha,
którą zwykliśmy nazywać zarozumiałością. Wiadomo
zaś, że z obciążonymi tą przywarą ludźmi — choćby
nawet wykształconymi — próżno się spierać, bo
choćby nawet słuszność przeciwnikowi w duchu
przyznawali, uprą się i nieustąpią, a w tym wypadku

~~jedynym skutecznym argumentem strony przeciwnej była tylko pięść, do czego przecież ludzie ludzie mądrzy uciekać się nie będą i, stosownie do znanego przysłowia, ustąpić wolą.~~

IX. ~~VIII.~~

Z pod własnego pióra. – Prawdziwi przyjaciele. – Pomoc. – Niezasłużone uznanie. – Z. Jabrzykowski. – Julja Bobrzyna. – Próba wybrnięcia z kłopotliwego położenia. – Śmierć ojca. – W Kołomyi. – ~~Powrót~~ Nazad do domu. – Komitet. – W teatrze lwowskim. – 500-lecie Grunwaldu w Krakowie. –

Jakkolwiek warunki mojej egzystencji z każdym niemal dniem trudniejszemi były, nie zmieniłem trybu życia, oddając się w wolnych chwilach wszystkie książkowej, ~~przyczem doznałem~~ a dając przytem upust cisnącym się do głowy myślom, przelewałem je na ćwiartki papieru, które następnie w postaci wierszyków przesyłałem redakcjom pism ludowych.

Wiersze te, acz kolwiek naiwne, zwróciły przecież na siebie uwagę – przedewszystkiem dlatego, że z pod chłopskiego wyszły pióra i to w tym czasie, kiedy pracą na polu uświadomienia mas ludowych zajęto się wszystko, co było najlepszego i najszlachetniejszego w narodzie.

Ze wpływem młodego Jana Słomki, jednego z najruchliwszych wówczas działaczy oświatowych w Tarnobrzeskiem ~~powiecie~~, (w roku 1905) ukazały się moje wiersze w osobnym zbiorku pt. „Z pod chłopskiej strzechy”, wydane nakładem „Wydawnictwa groszowego im. Tadeusza Kościuszki” w Krakowie, poprzedzone słowem wstępnem Kaspra Wojnara, zasłużonego pracownika na polu narodowem.

~~Zbiorkiem tym~~ Zbiorek ten zainteresował ówczesne ruchliwe koło T. S. L. młodzieży akademickiej we Lwowie. Szczególnie ~~X.~~ Hieronim W., sekretarz zarządu tegoż koła, darzył mnie ~~szczególnemi~~ wielkiemi względami, i korespondując ze mną wybadywał koleje mego życia.

Wiadomo, że człowiek, ustawicznie z niedostatkiem walczący, dużo przyjaciół nie ma, co też trafnie określa ujęte w czterowiersz przysłowie:

„Gdy pieniędzy wiele –
Wkoło przyjaciele;
Gdy pusto w kieszeni –
I psa nie ma w sieni".

Tak też i ja nie ~~dużo~~ wielu miałem tych przyjaciół. Ale jeżeli opuszczonemu przez najbliższych człowiekowi otworzy serce i poda przyjazną dłoń ktoś ze stojących na wyższym szczeblu drabiny społecznej; – natenczas znaczą taka dusza starczy biedakowi za całe legjony powszednich przyjaciół. –

Takim opiekuńczym duchem był mi odtąd obok Jana Słomki† i Józefa Fiedlera z Rozwadowa Hieronim W. Pisując do mnie zachęcał do wytrwania, dodawał ducha, wskazywał, na jakich autorach mam opierać dalsze swoje samokształcenie; dalej, odczuwając moje materjalne niedomagania, zamieścił w jednym z dzienników lwowskich odezwę z apelem do społeczeństwa o udzielenie mi pomocy; przedstawił ~~a~~ w końcu moje położenie młodzieży akademickiej, zgrupowanej we wspomnianem już Kole T. S. L., wskutek czego z łona tejże młodzieży wyszła inicjatywa urządzenia w Samborze przedstawienia amatorskiego, które zapowiedział – ~~następującej treści afisz przechowywany~~ starannie między mojemi pamiątkami dotąd przechowywany – następującej treści afisz:

Staraniem Komitetu włościańskiego
odbędzie się w Samborze w sali „Sokoła"
dnia 6 maja 1906.

Uroczysty Wieczór

ku uczczeniu

chłopa poety Ferdynanda Kurasia.

Program:

1. Słowo wstępne „O dzisiejszych chłopach poetach" wygłosi H. Wierzba ze Lwowa.
2. Chór: a) Hejnał nadziei, muzyka Barańskiego, słowa Kurasia.
   b) Walecznych tysiąc.
3. Deklamacye: Najnowsze utwory Kurasia wygłosi H. Wajdówna ze Lwowa.
4. Kółko dramatyczne włościan z Biskowic odegra obraz sceniczny „Sen".
5. Przemówienie włościanina ~~Mrozka~~ Tomasza Mrozka.
6. Chór: Polonez Kościuszki.

Ceny miejsc: Loża na 5 osób 10 K., na 4 osoby 8 K., Krzesło balkonowe 1 K., Krzesło I-rzędne 2 K., II-rzędne 1 K. 50 hal., parter 70 hal., studenci 50 hal., włościanie 20 hal.

Czysty dochód przeznaczony na polepszenie doli Ferdynanda Kurasia.

Początek o godz. 7½ wieczór.

Ta serdeczna opieka wsparła mię nietylko materjalnie ale i moralnie i dodała mi sił do borykania się z garbatym losem.

Zdarzało się często, że przypadkowi podróżni i wycieczkowicze znalazłszy się w pobliżu miejsca mego zamieszkania przerywali swą podróż i szli do Wielowsi prosto do mnie, gwoli osobistego poznania, nie szczędząc mi gorących słów zachęty do wytrwania w pracy na polu narodowem. Największą wszakże radość sprawiały mi odwiedziny chłopów, szczególnie z Kresów wschodnich.

Pewnego letniego dnia zawitał do mnie włościanin z samborskiego, nazwiskiem Antoni Brzostowski, wysłany przez Komitet budowy Kościoła na kwestę. Rozpiąwszy ubranie, wydobył Brzostowski z za pazuchy jakiś starannie w papier owinięty płaski przedmiot, a odwinąwszy go, pokazał mi dobrze już zatłuszczone i poczytane — moje dziełko „Z pod chłopskiej strzechy", które zawsze wychodząc z domu z sobą zabierał, chowając na piersiach jak poświęcony szkaplerz. Kochany ten bratwieśniak w te do mnie przemówił słowa: „Pragnąłem tak pana widzieć raz w życiu, jak przystąpić przed Wielkanocą do Stołu Pańskiego... Kiedy czytam wasze piosenki, tak mi to ducha rozgrzewa, jakbym miał ogień w piersiach... Składam serdeczne Bóg zapłać od całego Sambora".

Nieśmiertelny twórca „Pana Tadeusza" wyrażając jedno z swych najgorętszych pragnień, streszczające się ~~w słowach~~:

„O gdybym kiedyś dożył tej pociechy,
Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy" —

byłby mi niezawodnie sukcesu tego pozazdrościł, gdyby żył.

Pozatem nie brakło mi zachęty listownej z stron dalszych, a wiele takich listów zaopatrzonych było zbiorowymi podpisami, jak ten, który w dosłownem brzmieniu ~~oryginału~~ przytaczam:

„Olesza (dwór) p. Monasterzyska, 16. IV. 1906 r. Nasz Kochany Poeto! W drugie święto 16 Kwietnia zebrani w Oleszy (dworze) na święconem przesyłamy naszemu Kochanemu i Drogiemu Poecie wyrazy szacunku i cieszymy się, że Polska takiego nam Syna wydała.

Niechaj smok ryczy, niech w nas jadem zieje,
My wszystko zniesiem z wytrwałością męską;

Aż w końcu ziszczą się nasze nadzieje,
Że pieśń nad ścierwem zanucim zwycięską!*)

Kazimierz Wolniewicz z Oleszy; Józef Bielecki, Maciej Delikatny z Kowalówki; Michał Olszański, Franciszek Sowa, Tomasz Luźny z Korościatyna; Józef Buchwald Małe Wysocko (W. Ks. Poznańskie); Bronisław Budziszewski z Oleszy".

Dowodów tych nie przytaczam dla próżnej chwalby — Boże od tego mnie chroń! — bo samochwalstwem brydzę się, ale podaję je jako przykład, że i najbiedniejszy nawet człowiek może, gdy zechce, stać się pożytecznym członkiem społeczeństwa i zyskać ogólny szacunek.

To zwrócenie na mnie uwagi szerszych kół zawdzięczam swym wierszom, a które przynosiły mi także i inne niespodzianki, jak następujący szczegół: W końcu grudnia 1905 r. przyniosła mi poczta list z datą Kraków, 27 grudnia 1905 r., pisany przez nieznanego mi Z. Załbrzykowskiego. Szanowny autor listu prosił mnie, bym mu zrobił jedną parę płytkich, sukiennych pantofli podług miary odrysowanej na odwrotnej stronie listu stopy, zaznaczając, że równocześnie pod moim adresem wysłał przekazem pocztowym kwotę 20 koron tytułem należytości za te pantofle. Pieniądze z powodu mylnego adresu nadeszły z opóźnieniem, ale już w podwojonej kwocie t.j. 40 koron. Materjał na jedną parę takich pantofli kosztował wówczas około 4 korony, skoro więc pan Załbrzykowski zapowiedzianą, a z powodu mylnego adresu zwróconą kwotę podwoił, tak też i ja zamiast jednej, zrobiłem i posłałem mu dwie pary pantofli, co musiało widno Szanownego filantropa skonfundować, bo nie dając mi się prześcignąć w odmieszaniu miarek, nadesłał mi jeszcze dalsze 30 koron.

Kim był ów p. Załbrzykowski, dowiedziałem się później, już po jego śmierci, kiedy w jednej z sal Zarządu Głównego T.S.L. w Krakowie pokazano mi jego portret, zawieszony obok portretu szlachetnej wieśniaczki, Julji Bobrzyny, ze wsi Prus pod Lwowem, które widząc, że istniejące

*) Cytata z utworu „Wytrwamy", napisanego w odpowiedzi cesarzowi Wilhelmowi na jego mowę w Malborgu 1902 r. („Z pod chłopskiej strzechy" na str. 60).

we wsi stowarzyszenia, jak Czytelnia, Kasa spółkowa, Teatr włościański, Straż pożarna nie mają się gdzie pomieścić, a starsi i młodzież nie mając punktu zbornego, wysiadują po karczmach, ~~zebolało ją sene~~ chcąc temu zaradzić, cały swój grunt wartości dwóch tysięcy Koron zapisała pod budowę „Domu ludowego" we wsi Puszach.

Sam tylko zapał nie dokaże cudów, jeżeli zdrowia i sił braknie. Wycieńczony do ostateczności pracą bez wytchnienia tak się wyniszczyłem, wybladłem, że ludzie mieli mnie za suchotnika. Przeświadczony, w końcu, że w dotychczasowych warunkach długo nie wytrzymam, przeciągana bowiem struna wysiłków mogłaby pęknąć, jąłem przemyśliwać nad osiągnięciem innego, odpowiedniego sposobu bytowania. Najbardziej uśmiechała mi się praca na własnym zagonie. Ale po wielu próbach zakupienia bodaj paru morgów ziemi w dalszych stronach kraju, zawsze okazało się, że suma, jaką ze sprzedaży wielowiejskiej realności mógłbym uzyskać, na to nie wystarczy.

Raz w pociągu kolejowym wdało się ze mną w rozmowę dwóch inteligentnych młodzieńców. Oznajmili mi oni w końcu, że mimo głuchoty mógłbym dostać zajęcie dyetarjusza w którymkolwiek urzędzie. Uczepiwszy się tej myśli, napisałem do mego przyjaciela Szymona Chełpińskiego w Kołomyi, z którym – jak z wielu innymi – zaznajomiły mnie drukowane w gazetach moje wiersze, prosząc go, by się wystarał o zajęcie biurowe dla mnie. A kiedy Chełpiński odpisał, że starać się będzie spełnić moje życzenie, nabrałem pewności w udanie się przedsięwzięcia.

W tym czasie ojciec mój przeziębiwszy się, uległ zapaleniu ~~płuc~~ i mimo lekarskiej pomocy, po kilku dniach ciężkich cierpień, umarł 11 Kwietnia 1907 r. w 64-tym roku życia.

Przy chorym prócz mnie i matki czuwały na zmianę dniem i nocą dwie miejscowe Siostry Dominikanki. Jedna z tych sióstr, lilja w poranku pierwszego rozkwitu, w szczytnej roli miłosiernej Samarytanki posuwała się do bezprzykładnego poświęcenia.

A kiedy ojciec, słabymi już ruchami ~~poleciwszy~~ zdawszy matkę opiece mojej, zasnął na wieki na rękach moich, dobra współczująca siostra tak z nami płakała, jakgdyby własnego ojca utraciła. Szczęśliwi, do których w ciężkiej godzinie ~~takiej roztąki~~ podobnej rozłąki przychodzą takie anioły.

~~Drogiemu Zmarłemu poświęciłem następujące~~

Pożegnanie.*)

U łoża śmierci pochylony twego
Na sen ci wieczny zamykam powieki;
Żegnaj, mój ojcze, blasku życia mego...
Duch twój uleciał w świat od nas daleki,
Gdzie niema smutku — nad ziemią wysoko —
Lecz ja twój obraz mam w sercu głęboko.

Mówią, mój ojcze, żeś ty mię zubożył,
Gdy ja od ciebie zyskałem tak wiele!
Tyś przed oczyma memi świat otworzył
I wzniosłe życia wskazywałeś cele,
U których wielkie czekało mię mienie:
Poczciwe imię i czyste sumienie.

Od najwcześniejszych lat życia mojego
Ty mię uczyłeś, rodzicu kochany,
Uwielbiać Boga, miłować bliźniego,
Kochać Ojczyznę, zakutą w kajdany,
A siew twych nauk, w me serce rzucony,
Widzisz mój ojcze, że wydaje plony.

A więc ja wiele mam, ojcze, od ciebie!
Któż zdolny jak ty syna ubogacić?
A teraz, gdy Bóg zabrał cię do siebie,
Straciłem możność dług wdzięczności spłacić...
Nie było danem tobie po dniach znoju
Przy boku syna odetchnąć w pokoju.

Pustka ponura i chłód zewsząd wieje,
Żal pierś rozsadza westchnieniem tłumionem;
Straciłem wszystko — nawet i nadzieje —
Tak mi się zdaje — z twoim, ojcze, zgonem.
I nie śmiem wzroku zdjąć z oblicza twego,
Jak z gasnącego znicza szczęścia mego.

*) Z dziełka „Wiązanka z chłopskiej niwy".

Nie czujesz, ojcze, bólu mojej duszy,
Nie czujesz, ojcze, żalu mego serca,
Nie czujesz, ojcze, tej głuchej katuszy,
Jaka me łono twym zgonem przewierca,
A twe, trosk pełne za życia oblicze,
Teraz spokoju oblały słodycze.

Snać cię ukoił ten spoczynek wieczny,
Bo choć trzy tobie została rodzina,
Wyraz oblicze twe zdobi serdeczny;
Snać miałeś pewną wiarę w twego syna,
Że skarb, któryś mu przekazał w spuściźnie,
Zachowa, służąc Bogu i Ojczyźnie.

O mój tę pewność, rodzicu mój drogi,
Że tę puściznę uszanuję święcie,
Że się wytkniętej trzymał będę drogi
I każde z Bogiem spełniał przedsięwzięcie,
Że się nie splamię żadnym sprośnym czynem,
Albo nie będę zwał się twoim synem.

Żegnaj, mój ojcze! Błogosław mi z nieba,
Bym cierpliwie znosił to brzemię żałości,
I żyj w mem sercu, – więcej mi nie trzeba.
A gdy sam stanę u progu wieczności,
Wtedy mię przyjmij w otwarte ramiona,
Niech nas szczęśliwość łączy nieskończona.

W kilka dni po pogrzebie ojca wyjechałem do Kołomyi. Przez parę pierwszych dni byłem gościem kochanego Szymona, nadzwyczaj serdecznie podejmowany. Wkrótce dano mi tymczasowe zajęcie w redakcji „Gońca Pokuckiego", tygodniowego lokalnego pisma. Lokal tegoż tygodnika mieścił się przy ul. Kraszewskiego, w domu ~~pana~~ Stanisława Gruszeckiego, cieszącego się ogromną popularnością tak w mieście jak i w okolicy obywatela. Pokój był obszerny, jasny i w nim też umieszczono dla mnie łóżko z czystą pościelą, osłonione parawanem. Tu donoszono mi regularnie obfity, ~~smaczny i posilny~~ a wykwintny wikt ze stołu

Szanownego właściciela domu. Państwo Gruszeccy zabiegali wogóle, by ~~na~~ niczem mi nie zbywało; nie zapomniano także zaopatrzyć mnie w wyborne papierosy, jedyny zbytek, bez którego obejść się nie umiem.

Przyjechałem do Kołomyi, osobiście nikomu nieznany, a przecież przyjęty i ugoszczony byłem jak stary, dobry znajomy.

W parę tygodni później, dzięki moralnemu poparciu miejscowej inteligencji z T.S.L., w szczególności wspomnianego ~~odpiece~~ p. Stanisława Gruszeckiego + i ~~Dr~~ dr. Tadeusza Milewskiego, starszego lekarza powiatowego ~~i~~ zasłużonego prezesa Kołomyjskiego Koła T.S.L., dostałem posadę dyetarjusza w Kołomyjskiem Starostwie, którego kierownikiem był wówczas ╳ Ferdynand Pawlikowski, człowiek na równi z innymi bardzo mi życzliwy. ~~Rozpocząłem więc nowy zawód pracy.~~ Stancję z wiktem wynająłem u państwa Piekarników przy ulicy Smolki.

Na posadzie tej dobrze mi było; manipulacja kancelaryjna, jakkolwiek dla mnie całkiem nowa, ~~poszła~~ szła ~~mi~~ łatwo, a przełożeni byli ze mnie zadowoleni.

Przywykły do ciągłej pracy, doznawałem nudów, gdy roboty na dłuższą chwilę mi brakło. To też najbliżsi koledzy biurowi wyzyskiwali tę moją ochotę, podsuwając mi do przepisywania zaległe „kawałki" ze swych biurków. Ale zauważył to sekretarz ╳ Klecan i zburczał mnie słowami: „Nie pracuj pan za drugich! Pan jesteś ojcem; pańska praca nawet w połowie będzie jeszcze najwydatniejszą."

Grono kolegów z różnych biur spędzało wieczory z reguły w „handelkach", dokąd ja uczęszczać ani nie mogłem, ani nie chciałem, to też nieraz porządnie mi się przykrzyło. Chcąc się rozerwać, brałem udział czy to w obchodach rocznic narodowych, czy też w zbiorowych wycieczkach do okolicznych wiosek na uroczyste otwarcia czytelń, urządzanych przez zawsze ~~ruchliwe~~ czynne kołomyjskie Koło T.S.L., albo też z przyjacielem Chętnińskim chodziłem za miasto nad brzegi Prutu i w zielone pola.

W Kołomyi zaobserwowałem większy rozmach w pracy społecznej tamtejszej naszej inteligencji, a wynikiem pracy tej jest znaczne uświadomienie ludu polskiego na wsi, i śmiało rzec mogę, że chłop polski na Kresach wschodniej Małopolski posiada dużo więcej świadomości narodowej, niż chłop w zachodniej Małopolsce.

Ludność ruska ~~na wsi~~, swym rodzimym, częstokroć malowniczym strojem, dodatnie robi wrażenie. Nie znać na niej wpływu tego praskiego kultu, który wśród ludności czysto polskich, przeludnionych okolic tak straszliwe poczynił spustoszenie.

Wydatki na osobiste utrzymanie w Kołomyi były tak wielkie, że chcąc pozostałej w domu rodzinie coś ze swego zarobku posłać, musiałem sobie odmawiać najtańszych nawet przyjemności. Prócz tego trapił mię ustawicznie niepokój o upadającą na siłach matkę, której beremie ciężko żyć było. Sprowadzać zaś rodzinę do Kołomyi nie uważałem za stosowne tak ze względu na sędziwą matkę, jak i żonę, która ~~wychowawszy się~~ będąc wychowana w zapadłej wsi, nie umiałaby się żyć z dużem miastem. Postanowiłem ostatecznie wracać do domu.

Zgłosiłem więc na ręce starosty rezygnację z posady i mimo przedstawień i tłómaczeń tak z jego strony, jakoteż ze strony ~~P.~~ dra Milewskiego, by nie odchodzić, podziękowałem szlachetnym ludziom za podaną mi w potrzebie pomocną dłoń i w lutym 1908 r. żegnany łzami dobrej mojej gospodyni, ~~pani~~ Piskozubowej, wyjechałem do domu.

W kwietniu wspomnianego wyżej roku przyjechał do Wielowsi poseł Wojciech Wiącek w towarzystwie kilku wybitniejszych działaczy ludowych z Dzikowa i Machowa, i zwołał zgromadzenie do kancelarji gminnej. Sądziłem, że jest to zwykłe poselskie sprawozdanie. Dopiero po odjeździe gości dowiedziałem się ze zdumieniem, że zawiązali oni tymczasowy komitet celem wdrożenia akcji polepszenia doli Kurasia...

Jakoż wkrótce ukonstytuował się komitet, wydał odezwę i przystąpił do zbierania składek.

W tym czasie przystąpić miałem do stawiania nowej chałupy, na którą powróciwszy z Kołomyi zwiozłem już drzewo. Ożywiony jednak nadzieją ~~korzystnej~~ korzystniejszej zmiany położenia, zarzuciłem ten zamiar; nie mogąc zaś w dotychczasowej, ciasnej, drobnemi dziećmi zapełnionej chałupinie warsztatu szewskiego na nowo rozkładać, przyjąłem zaofiarowaną mi przez tarnobrzeski wydział rady powiatowej posadę pomocnika kancelaryjnego, w przeświadczeniu, że w zaciszu tej służby przetrzymam najkrytyczniejszy czas, poczem już będę pracował samodzielnie na własnym zagonie.

W lecie 1909 r. przypadała 25 rocznica śmierci Ks. Ś.

Anczyca, którą zawiązany w tym celu Komitet postanowił uczcić uroczystym obchodem w Krakowie i we Lwowie. Na obchód do Lwowa zaproszono i mnie.

Przyjechawszy do Lwowa, zapytałem ~~Dra~~ dr. Gargasa, prezesa Zarządu Gł. Teatrów i Chórów włościańskich i jednego z organizatorów anczycowskiego obchodu, jaką właściwie rolę na tymże obchodzie mi wyznaczyli, na co tenże odpowiedział: „Ze sceny teatru pokłoni się pan publiczności". „Bójcie się Boga!" krzyknąłem niemal ze strachem, „ja tego nie lubię... nie chcę... widowiska z siebie robił nie będę..." ale ~~pan~~ dr Gargas gadać sobie nie dał.

Uroczystość obchodu rozpoczęła się wysłuchaniem mszy św. w Katedrze, poczem uczestnicy przy ~~dźwięk~~ dźwiękach muzyki włościańskiej z Komarna-Chłopów udali się przed teatr. W pochodzie za muzyką postępowali górale z Zakopanego, członkowie chóru z Prus, członkowie teatru włościańskiego ze Świrza, szkoła gospodarstwa domowego dla dziewcząt z Pietrzyc, włościanie ze Zbojsk, Malechowa, Sokolnik, Podhorzec, Chlebowic świrskich, Tucznego itd. Po wysłuchaniu okolicznościowych przemówień udali się uczestnicy do szkoły Mickiewicza, gdzie Komitet obchodu przyjął ich śniadaniem.

Tu spotkała mnie niespodzianka, o jakiej nigdy nie marzyłem. Oto po toastach, jakie do mnie spełnili panowie Marceli Gajewski i ~~Dr~~ dr Gargas, ustawiła się przedemną jedna z orkiestr i pod batutą niepomnę już czyją odegrała mi hymn „Jeszcze Polska nie zginęła".

W południe udaliśmy się do teatru. Towarzyszący mi p. Gajewski zajął obok mnie fotel. Zagrała najpierw orkiestra z Komarna-Chłopów, poczem jeden z włościan ze Świrza odeklamował mój wiersz, w hołdzie Anczycowi napisany. Gdy tylko umilkły oklaski, powstał ~~mu~~ p. Gajewski i mnie pociągał, bym także wstał. Ale ja bojąc się, by mnie stosownie do zapowiedzi ~~Dra~~ dr. Gargasa na scenę nie zaprowadził, oparłem się. Nagle stało się coś, na co drgnąłem, a oczy mgłą mi zaszły. Oto publiczność, zwrócona w stronę, gdzie przy mnie stał p. Gajewski, zawzięcie klaskać zaczęła... Wstałem więc i ukłonem podziękowałem za urządzoną, a niezasłużoną owację. - Siadłszy z powrotem,

oczu podnieść nie śmiałem, modląc się w skrytości ducha, by się ziemia podemną rozstąpiła...

Następnie po odśpiewaniu pieśni (między którymi były ponoś i moje) przez chór z Prus, złożony z 20 dziewcząt i 19 włościan, drużyna włościańska ze Świrza odegrała „Żobrowian". Po odegraniu sztuki wstał p. Gajewski, pociągając mnie z sobą. Idziemy, kołując zakamarkami, aż wreszcie znalazłem się – koło kulis... ~~[„Matko Boska!" jęknąłem i obejrzałem się ku wyjściu, ale nijako było uciekać. Zostawiono mnie jednak nareszcie w spokoju]~~

Z tej pozycji mogłem obserwować publiczność, sam nie będąc widzianym. Na scenie tymczasem rozpoczęły się tańce górali z dziewczętami. Hej, co to były za tańce! Patrząc na tańczące pary, pozbyłem się nieśmiałości, a krew tak mi grać w żyłach poczęła, że miałem ogromną ochotę porwać w objęcia pierwszą, obok mnie stojącą dziewczynę i rzucić się z nią w to wirujące koło tańczących, a szaleć, szaleć choćby na śmierć. Ale od zamiaru tego wstrzymała mnie świadomość, że nie wiele co lepiej tańczę od tancerzy smorgońskiej akademji.

Potem górale, sami już bez dziewcząt, odtańczyli „ognistego zbójnickiego". Kto na własne oczy nie widział takiego góralskiego tańca, daremnie byłoby mu opisywać. Górale, zręcznie wywijając i podrzucając toporkami, tańczyli ogniście, a lekkie, zwinne ruchy i w kształt skrzydeł rozwiane gunie, czyniły ich podobnymi do bujających w obłokach orłów. A widownia grzmiała i grzmiała oklaskami.

Oklaskiwano też gorąco Jędrka Suleję, podhalańskiego poetę, kiedy deklamował pieśń swoją o rodzinnych górach:

„O wy nasze góry,
Wy ~~nasze~~ wysokie skały!
Wyście nas na ~~skrzydłach~~ łonach
Swych ~~wykołebały~~ wypiastowały
I potoków szumem
Pieśni nam śpiewały,
Wiatrami halnemi
Do snu kołysały".

Na zakończenie przy spuszczonej kurtynie ustawiano na scenie te grupy, które występami swemi tak rozentuzjazmowały publiczność. Mnie, mimo wypraszania się, wysunięto na środek do pierwszego rzędu. Korzystając atoli z rozgorączkowania grupujących nas osób, począłem nieznacznie cofać się wtył, aż wcisnąłem się między ustawioną grupę tak, że z widowni nie mogłem być widziany. Już, już miano podnieść kurtynę, kiedy jeden z grupujących nas panów spojrzawszy na ustawioną grupę ~~nie zobaczył mnie,~~ zauważył, że mnie nie ma, rozsunął innych i grzecznie ale stanowczo wyciągnął mnie i nanowo w pierwszym ustawił rzędzie.

Po teatrze udali się wykonawcy na obiad do „Domu akademickiego", mnie zaś zabrał do siebie p. Gajewski.

Wypada nadmienić, że małżonka tegoż p. Gajewskiego jest bliską krewną — ponoć siostrzenicą — jednego z najszlachetniejszych ludzi, jakich naród ruski wydał, nieodżałowanego poety Platona Kosteckiego, autora znanej ongiś w całym kraju modlitwy:

„Wo imia Otca i Syna,
To nasza mołytwa,
Jako Trojca tak jedyna
Polszcza, Ruś i Łytwa".

Państwo Gajewscy ugościli mnie bardzo serdecznie, nadto p. Gajewski oprowadził mię jeszcze po Lwowie i pokazał sławną Panoramę Racławicką na placu powystawowym.

Hej, mocny Boże! Jakie to zbawienne skutki oświata na wsi wywiera! Byłem ci ja nieraz w teatrach krakowskich a także i w Warszawie, nie mówiąc już o teatrach miast prowincjonalnych, ale nigdzie nie zaobserwowałem takiego entuzjazmu, takiej zrywającej się co chwila burzy oklasków, jak właśnie w lwowskim teatrze w dniu 7 czerwca 1909 r., kiedy to całe przedstawienie odegrane zostało wyłącznie siłami tych cichych pracowników na szarym zagonie.

W rok później miałem sposobność być w Krakowie na obchodzie 500ej ~~letniej~~ rocznicy pogromu Krzyżaków pod Grunwaldem. Przeszło sto tysięcy ludzi przybyło z różnych stron Polski. Nigdy chyba jak Kraków Krakowem nie snuły się między jego murami tak mnogie rzesze, co przyszły złożyć hołd świętościom narodowym.

Obchód rozpoczął się uroczystem nabożeństwem w kościele N. P. Maryi. Kazanie miał Ks. biskup Bandurski, a zakończył je następującemi (prorockiemi) słowami:

„Gdy Jagiełło ujrzał w czasie walki grunwaldzkiej, jak jedna z chorągwi polskich chwieje się i pada, zawołał: „Stać murem, nie dać się ruszyć". To hasło nasze. Stać murem, nie dać się ruszyć z ziemi, wiary, religji, mowy i z chałupy. Nie dać się ruszyć, stać murem, bo przyjdzie odrodzenie – widzę je – jest ono blisko".

Defilada nieprzeliczonego zastępu „sokołów" pod grunwaldzkim pomnikiem, ofiarowanym miastu i narodowi przez mistrza Paderewskiego, pochód z Błoń na Wawel 118 różnych grup łańcuchem prawie milowej długości, w którym to pochodzie brali udział rodacy nietylko z wszystkich dzielnic Polski ale i z obczyzny, z Ameryki; delegacja Węgrów z posłem Nagym na czele i delegacje wszystkich narodów słowiańskich, z wyjątkiem Rusinów; banderje konnych Krakusów w malowniczych strojach, sztandary, wieńce, wreszcie wspaniała, rzęsista iluminacja, „wianki" na Wiśle itd. itd. – wszystko to na uczestnikach obchodu wywarło głębokie, nigdy niezatarte wrażenie.

Patrzącemu na te tysiączne rzesze narodu, postępujące w jednym zwartym szeregu, dusza na skrzydłach nadziei niosła się w błękity.

O zjednoczenie narodu wspaniałe!
Już dusza marzy o wyzwolin wiośnie,
Widzę już, Polsko, bliską twoją chwałę,
Aż serce rośnie!

X.

„Dar narodowy". – Na Kongresie Eucharystycznym w Wiedniu. – Mirosławianki w Krakowie. – Na Kalwarję Zebrzydowską. – Wycieczka do Warszawy. – Wybuch wielkiej wojny. –

Członkowie wydziału wykonawczego „Komitetu dla sprawy F. Kurasia", o którym na swojem miejscu wspomniałem, zamierzając przystąpić do ostatecznego zrealizowania swych przedsięwzięć, ~~w międzyczasie~~

zwrócili się do mnie z zapytaniem, gdzie życzyłbym sobie osiąść. – Hr. Zdzisław Tarnowski równając kompleksy swych pól, skrawki ich, wrzynające się klinami w grunta włościańskie, sprzedawał każdemu, kto się zgłosił. Taki skrawek, obszaru coś czterech mórg, trafiał się w Wielowsi w miejscu wygodnem, obok wsi, przy samym bitym trakcie, z otwartym widokiem na Sandomierz, ~~w sam raz dla mnie~~. Wyraziłem więc życzenie posiadania tego kawałka. Ale życzenie to nie dało się spełnić. Komitet zakupił kawałek ziemi 1 1/8 morga w Dzikowie. ~~Ale czy to z powodu wygórowanej ceny, czy też dlatego, że chciano mieć mnie blisko Tarnobrzega, członkowie komitetu – mimo zwracania się do mnie o wyrażenie życzenia – do życzenia tego nie zastosowali się.~~

~~Ale życzenie to nie dało się spełnić. Komitet zakupił kawałek ziemi 1 1/8 morga, w Dzikowie.~~

~~Jak zaś w atrybucje komitetu co jest rzeczą zrozumiałą mieszać się ani nie mogłem ani nie chciałem. W Dzikowie więc za wsią w szczerem polu zakupił komitet kawałek ziemi obszaru 1 1/8 morga.~~ Na plac ten zwieziono tarty materjał drzewny z Rudnika nad Sanem, ofiarowany przez ~~prezesa Krakowskiej Akademji Umiejętności, prof.~~ hr. Stanisława Tarnowskiego, i pewną ilość za resztę gotówki zakupionej cegły, którą zaraz użyto na podmurówkę pod zręby.

W swoim czasie gromadzić się poczęły na ~~hro~~ horyzoncie nadciągające z półwyspu Bałkańskiego chmury, grożące powikłaniami politycznemi na (jak i) kontynencie Europy. Cała więc uwaga tak państw i poszczególnych ludów obracała się dokoła osi owej bałkańskiej polityki. Mimo więc wysiłków komitetu, a w szczególności jego sekretarza, Zygmunta Kolasińskiego, całą duszą tej sprawie oddanego, pełnego szlachetnych porywów młodzieńca, napływ składek osłabł, a wreszcie ustał.

Roztrojony niepewnością, zmuszony poniewierać się codzienną uciążliwą wędrówką z Wielowsi do oddalonego 10 km. Tarnobrzega, gdzie w biurze rady powiatowej pracowałem, bojąc się wreszcie, by poskładany na zakupionym w Dzikowie placu, wystawiony na działania atmosferyczne materjał nie zmarniał, za poradą dobrych ludzi sprzedałem ~~tak~~ swoją realność w Wielowsi, jakoteż szczupłe wiano żony i z pomocą uzyskanej tą drogą gotówki przystąpiłem do zakupna budulca i innych potrzebnych

materjałów, a wreszcie do stawiania domu i obór=ki. [~~pocieszając się robioną mi nadzieją, że kiedyś, przy pomyślniejszej konjunkturze, wydatek ten będzie mi zwrócony, a może nawet odpowiedni kawałek pola w Dzikowie da się jeszcze dokupić.~~]

Plac ten w Dzikowie teren miał niski, glebę ciężką, podglebie iłaste, nieprzepuszczalne. To też za najmniejszym nawet deszczem tworzyło się na powierzchni lepkie, do mazi podobne błoto, tak, że ani krokiem stanąć; w słotnej zaś jesieni, a jeszcze więcej na wiosnę, kiedy śniegi stopnieją, przejść tak bagnistem podwórkiem było niesposób, a już prostą niemożliwością było ładownym wozem przejechać.

Już w jesieni piwniczkę pod domem zalała podskórna woda, sięgająca równo powierzchni ~~gruntu~~ ziemi; nie lepiej też było i w oborze. Musiałem więc z nadejściem wiosny piwniczkę, dom dokoła a wreszcie i część ogrodu zdrenować, w oborze dać betonowe podłogi, a na podwórze ~~wywieźć~~ nawieźć parset fur piasku.

Konieczne te roboty pociągnęły tak wielkie wydatki, że najniezbędniejsze do codziennego użytku rzeczy zmuszony byłem brać na kredyt i zadłużać się.

Na jesieni 1912 r. zagroda była gotowa, a w dniu 1 września tegoż roku odbyło się ~~z wielką pompą~~ ~~oddanie K. zagrody~~ „oddanie Kurasiowi daru narodowego".

~~[Nadeszło wiele telegraficznych i listownych życzeń od najwybitniejszych przedstawicieli wszystkich kół społecznych tak w kraju jak za kordonem. Było wiele mów przemówienia pierwszych przedstawicieli powiatu w powiecie, [podczas których to okazji [a stałem milczący, do nieboskiego stworzenia podobny... Ale w mojej duszy nikt wtedy czytać nie umiał.]~~

Odtąd miałem zdobywać środki ~~nie~~ na utrzymanie tak własne, jak matki-staruszki, żony i pięciorga drobnych dzieci najnieproduktywniejszą, ~~pracą~~ podcinającą siły duchowe pracą wśród czterech martwych ścian turmy, zwanej biurem rady powiatowej.

Komitet, w którym zasiadali najlepiej życzący mi ludzie, ożywiony był jak najlepszemi zamiarami i tylko nieszczególna konjunktura ~~polityczna~~ nie

dowolitą zapoczętego dzieła dokończyć tak, jak pragnął. Przyjmując dobrą chęć za rzecz dokonaną, serdecznie wszystkim za niezasłużone uznanie i odznaczenie dziękuję. Niemniej ~~serdecznie~~ dziękuję i tym, którzy mię przy biurku pierwszego ~~...~~ powiatowego urzędu autonomicznego posadzili.

Ale ~~mili kochani~~! Trzymajcie ~~się~~ ptaka w klatce, nie szczędźcie mu nawet wszelkich wygód, ptak ten wszelako ustawicznie w klatce tej trzepotał się będzie, a nie usiedzi w spokoju dlatego, że jest ptakiem, nie żabą. Po roku, czy nawet później, otwórzcie klatkę, a zobaczycie, jak ptaszek z radosnym świergotem na świat boży wyleci. Będziecie go wabić do powrotu cukrem czy serem, ale ptak ~~jeśli naprawdę mądry~~ zwabić się już do klatki nie da i wolej mu będzie nawet na swobodzie zginąć, niż w więzieniu marny wieść żywot.

Na końcu września tegoż 1912 r. zapowiedziany był wielki Kongres Eucharystyczny w Wiedniu. ~~odbyć się mający.~~ Dzięki ~~pomocy~~ hr. Zdzisławowi Tarnowskiemu ~~z Dzikowa~~ kilku nas z tarnobrzeskiego pojechało na tenże Kongres. Był między nami i głośny autor „Pamiętników włościanina", sędziwy wójt Słomka z Dzikowa. Matkę, pragnącą brata Franciszka zobaczyć, zabrałem z sobą.

Na dworcu w Wiedniu oczekiwał nas brat. Ja z matką i trzech towarzyszów podróży udaliśmy się z bratem do jego mieszkania. Wójta Słomkę zabrał do siebie ktoś z jego znajomych.

U brata zauważyłem, że życie jego w Wiedniu nie musiało być tak wesołe, jak je nam opisywał. Od roboty przychodził czarny, jak murzyn. Brud z siebie umywał w ten sposób, że zzuwszy bieliznę, nachylony nad napełnioną wodą miednicą ciało dobrze namydlił, brał ostrą szczotkę, jakiej do mycia podłóg używają, i tą szczotką niemiłosiernie się szorował.

Żonę ma Czeszkę, a dzieci nie znają prawie ani słowa z mowy ojczystej. Wszyscy posługują się między sobą ~~sobą~~ niemczyzną. Radziłem bratu, by dzieci posyłał do polskiej szkoły, na co odrzekł, że takiej nie ma. Pouczyłem go, że istnieje w Wiedniu „Dom Polski" i T. S. L. utrzymujące nietylko szkółkę ale i ochronkę dla ubogich dzieci polskich. Ale Franek tłómaczyć się począł, że do tej szkoły daleko, że pieniędzy nie ma itd., aż widząc w końcu bezskuteczność przedstawień, dałem spokój.

W Wiedniu, który ma być ponoś jednem z najładniejszych miast w Europie, widziałem na tym Kongresie przedstawicieli (wszystkich niemal) katolickich narodów. Ale obco tu polskiej duszy. Bardzo ładne jest Schönbrun i ciekawy ogród zoologiczny. Najbardziej wszakże zajęło moją ciekawość cesarskie muzeum, wszczególności przebogate galerje obrazów pędzli najsławniejszych mistrzów świata. Między obrazami widziałem i podziwiałem dzieło naszego Matejki – „Rejtana", niestety, zawieszone w jednem z najpośledniejszych miejsc.

Przy końcu uroczystości w towarzystwie Jana Kaczaka z Dąbrowicy pojechałem zębatą koleją na pełną drogich sercu polskiemu wspomnień górę Kahlenberg, z której w dniu 12 września 1683 r. wielki nasz wojownik, Jan Trzeci, uderzył ze swem rycerstwem na niezliczone, zagrażające zniszczeniem całych Niemiec wojska tureckie i w puch je rozbił. Za to ocalenie od zupełnego pogromu, wdzięczni Niemiaszkowie w dziewięćdziesiąt lat później na spółkę z ~~Niemcami~~ Prusami i Moskwą odpłacili się nam rozkawałkowaniem i grabieżą naszej Ojczyzny.

Wracając z Wiednia, obaj z Kaczakiem zawadziliśmy o Kraków. W domu Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego przy ulicy Radziwiłłowskiej ~~pan~~ p. Józef Okołowicz przedstawił nam pokaźną gromadkę hożych dziewcząt ze szkoły gospodyń wiejskich w Mirosławicach koło Żychlina, ziemi warszawskiej. Bawiły na wycieczce. Z Krakowa wybierały się do Zakopanego. Dziewczęta te malowniczym swym rodzimym ubiorem bardzo dodatnie czyniły wrażenie.

Ich główki chustkami krasnemi nakryte,
Koszulki, fartuszki haftami wyszyte,
Korale u szyi, gorsecik stan spina,
A każda jak róża, a wiotka – jak trzcina...

Na każdej strój własnej, misternej roboty,
I bije blask od nich, ten jakiś blask złoty
I zdrowiem nadobne tryskają twarzyczki;
Że niczem hrabianki, że niczem księżniczki.

Pracując w biurze rady powiatowej, dostawałem od czasu do czasu, najczęściej raz do roku i zazwyczaj w letniej porze, krótki urlop gwoli wytchnienia po forsownej pracy i wzmocnienia sił.

Podczas tych wywczasów odbywałem wycieczki dla orzeźwienia ducha.

W lecie 1913 r. wybrałem się do Krakowa. W Bochni przysiadł się do mnie młody kolega Robert Rydz. Na dworcu w Krakowie oczekiwał nas kolega Jantek z Bugaja wraz ze swoją Magdusią i pięcioletnią córeczką Zosią. W teatrze ~~miejst~~ wielkim zapowiedziana była na ten dzień jedna z najpopularniejszych sztuk narodowych „Kościuszko pod Racławicami" Wł. L. Anczyca. Z przedstawień teatralnych korzyść mogę odnieść o tyle, o ile grana sztuka jest mi znaną. A ponieważ „~~Kościuszki~~ treść „Kościuszki pod Racławicami" znałem, poszliśmy wszyscy do teatru. Największe wrażenie wywarł na mnie lirnik. Mała Zosia ciekawie całe przedstawienie obserwowała, klaszcząc drobnemi rączętami.

Po rozstaniu się z Robertem i przenocowaniu w Krakowie, Jantek wracając do Paszkówki zabrał mnie do swego domu, serdecznie ugaszczając. Objawiłem ochotę zwiedzenia niezbyt odległej Kalwarji Zebrzydowskiej, a kochany Jantek z całą gotowością postanowił mi towarzyszyć i za przewodnika służyć. Jakoż na drugi dzień udaliśmy się pieszo w drogę. Okolica śliczna. Mijaliśmy wzgórze z ruinami zamku Zebrzydowskich, zburzonego przez konfederatów barskich. Lubię stare ruiny. Miałem wielką ochotę pójść na ~~r~~ nie, ~~ruiny~~, ale żal mi było na stratę czasu Jantka narażać, był to bowiem czas sianożęci. Po zwiedzeniu świętej Kalwarji odprowadzony do najbliższej stacji kolejowej, pożegnawszy się z przyjacielem, wyjechałem do domu, unosząc miłe wrażenia.

W zymie 1913 roku opuściło ten padół dwóch najbardziej przyjaznych mi ludzi: Ludwik Kurzydło i Zygmunt Kolasiński. Po odejściu zacnych tych dusz samotniej się odczułem głęboko.

W ~~drugiej połowie~~, ~~zdaje się~~ lecie 21. lipca 1914 r. wybrałem się wraz z ~~p.~~ Janem Słomką młodszym na wycieczkę do Warszawy. W Sandomierzu ~~siedliśmy na parostatek i popłynęli w dół Wisły.~~ siadłszy na parostatek popłynęliśmy w dół Wisły. Podróż Wisłą na przestrzeni Sandomierz-Puławy nie ma sobie nic równie pięknego i przyjemnego. Płynąc i obserwując wzrokiem brzegi tej kochanej naszej rzeki, uprzytomniałem sobie to wszystko, co ~~nam poeciny~~ Jakób Bojko w książce swej pt. „Pod trzeciego króla" tak ślicznie opisał. Józefów, Solec, Janowiec a przedewszystkiem Kazimierz echami przeszłości swej dziwne wywierają wrażenie.

Wysiadłszy w Puławach zwiedziliśmy wspaniałą dawną rezydencję Książąt Czartoryskich, dziś na instytut rolniczo-leśny obróconą. Widok stąd na Wisłę cudowny. Świątynia Sybilli i inne osobliwe domki, oszpecone na pastwę największego zaniedbania oddane, że patrzącemu na nie żal serce ściska. Park przepyszny, ogromny - także w zaniedbaniu. Lip tak ogromnych, jak w Puławach, dotąd nie spotykałem.

Z Puław już koleją pojechaliśmy prosto do Warszawy. Przyjął nas bardzo życzliwie pan Stanisław Rutkowski, redaktor „Zorzy".

W „Dolinie Szwajcarskiej" miałem sposobność podziwiać dzielną orkiestrę Namysłowskiego w przepięknych strojach ludowych ~~lublinianków~~. Siedząca obok mnie pani Rutkowska podzielając mój zachwyt wyraziła żal, że piękny ten strój coraz bardziej idzie w zapomnienie i tylko od parady gdzieniegdzie bywa noszony.

Po zwiedzeniu głównych osobliwości stolicy pojechaliśmy do niezbyt odległego Pszczelina, gdzie zwiedziwszy szkołę rolniczą dla synów włościańskich, wróciliśmy do Warszawy.

Był późny wieczór 26 lipca. Stojąc w oknie jednego z hoteli na trzeciem piętrze, zwrócony w stronę Cytadeli obserwowałem wykwitające w mrocznej dali płomienie. Nagle z płomieni tych wystrzelił ku niebu ogromny słup ognia i równocześnie potężny huk odrzucił mię od okna. Po huku tym nastąpiły dłuższą chwilę trwające detonacje. Cytadela w ogniu, ~~znak~~ ostrzegawczy wróżba.

Dzienniki coraz pesymistyczniej oceniać poczęły sytuację, zamachem sarajewskim spowodowaną. Musieliśmy wyjazd z Warszawy przyspieszyć.

Zaraz na drugi dzień po wybuchu w Cytadeli wyjechaliśmy z Warszawy tą samą drogą. Wysiedliśmy w Zawichoście i tu spotkaliśmy naszego dobrego znajomego, Michała Smołę z Winiar, siostrę jego Marję, mistrz tkaczka i brata Jana, pszczeliniaka, autora licznych ~~pełnych głębokich myśli~~ artykułów, drukowanych w warszawskiej „Zorzy" i w innych pismach ludowych.

~~Widząc tego młodego parobczaka o czarnych spracowanych rękach, w najpowszedniejszym ubiorze, nikt by nie odgadł, że jest to człowiek niepospolitych zdolności. Ale, prawda,~~

nie z powierzchownego wyglądu ~~brać~~ trzeba miarę duchowej wartości człowieka.)

Janek zabrał nas na wóz do domu ojca swego w Winiarach, gdzie sympatyczna ~~p.~~ mirosławianka zajęła się ugoszczeniem nas.

Winiary - to bardzo piękna wieś. Tu we dworze ~~p.~~ Targowskiego znakomity nasz pisarz Władysław Reymont pisał swoje, niemające równego sobie w polskiej literaturze dzieło ~~pt.~~ „Chłopi", w którem wykazał tak wielką znajomość duszy chłopskiej, jak nikt przed nim.

Po krótkim wypoczynku i pogadance poczciwy przecze=liniak odwiózł nas do Sandomierza, skąd przeprawi=liśmy się na drugi brzeg Wisły, do Nadbrzezia.

Wyjeżdżając do Warszawy, zostawiliśmy wesołą, pełną życia okolicę, a teraz - po paru dniach - jakże się tu wszystko zmieniło! Jakaś wisząca w powietrzu burza przygnębiła umysły, osłabiła codzienny ruch życia.

~~Liczne~~ Gęsto rozlepione plakaty urzędowe wzywały pod broń, do świadczeń na rzecz armji itd. Koleje zarekwirowane zostały wyłącznie dla potrzeb wojska, - musieliśmy więc wynajętym ~~[illegible]~~ wózkiem jechać do domu, gdzie witano nas jak powracających nie z tego świata.

Naładowane elektrycznością chmury europejskiej poli=tyki, nareszcie w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku ~~wyrzuciły z swych czarnych czeluści gromy~~ sypnęły z swych czarnych czeluści gromami wielkiej wojny.

A ludzie o duszy słabej, lękliwej, jedni umknęli już to pod skrzydła Wiednia, już też gdzie się dało, dokąd pioruny wojny nie sięgały, inni zaś popadli w rozpacz i apatję.

Tylko ludzie o sercu mężnem, pełni wiary w sprawiedliwość dziejową, z otuchą patrzyli w przyszłość, za poetą powtarzając:

„Wierzymy, Panie, o! wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy Panie!

- - - - - - - -

„Wierzymy, Panie, że synowie pychy
Silni są złością, ale ~~silni~~ słabi w duchu,
Że jak cień żywot ich przeminie lichy,
Że ich tu jeszcze ujrzesz na łańcuchu,
Że ich płacz czeka i zębów zgrzytanie,
Wierzymy Panie!

„Wierzymy Panie, że w czas niedaleki
Kraj nasz o morza oprze swoje końce,
A wszystkie ludy przez wieki i wieki
Poglądać na nas będą jak na słońce,
Że Ty nad nami weźmiesz Królowanie,
Wierzymy Panie!"

Spis rzeczy